

VariArt

pismo kulturalno-literackie
NR 03/2013

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA w OLSZTYNIE
www.wbp.olsztyn.pl

biurowej
kultury
miast





Anna Rau FOTOMONTER

Komendant fromborskiej straży pożarnej Biedronek miał wreszcie spokojny dyżur. Do czasu.

- Panie władzo...

- Tu straż pożarna, proszę pani!

- Panie władzo – drżący głos staruszki w telefonie nie ustąpił.

- Kotek malutki na zabytkowej wieży miauczy. Włazł pewnie w dzień, kustosz na wieczór kłapę od muzeum zamknęli i zwierzątko cierpi! Proszę przyjechać!

- Ale nic prócz kotka się nie pali? Eeee... to znaczy nie ma pożaru? – komendant przez chwilę miał nadzieję na poważną akcję.

- Gorzej! Ten kotek miauczy!!!

No dobrze. Komendant w końcu pojechał sam. Nie będzie wchodził po kota z całym zastępem! O dziwo drzwi na starą wieżę były uchylone i rzeczywiście słychać było z góry żałosne dźwięki. Gdy przez całe wieki wchodził po mrocznych spiralnych schodach wieży, w końcu poczuł się jak w tunelu. Zakręciło mu się w głowie i tak, jak do tej pory szedł ku górze, naraz zaczął po prostu dążyć ku światłu...

Pomieszczenie na szczycie wypełniała jasna, gęsta mgła. Biedronek nie zastanawiał się jednak nad osobliwością światła, które czuł na sobie niczym gładki materiał, ale nad istotą, która, hałasując, siedziała w pozycji sfinksa na małej kolumnie. Nie była bynajmniej kotkiem malutkim. Była... czymś. Stworzenie miało miękkie okłaple uszka, bystre oczy jak czarne paciorki, prócz tego cztery giętkie, dość długie kończyny z krogulczymi pazurkami, o stawach wystających ponad głowę, i okrągły brązowy tułów. Miało też dziwny w wyrazie pyszczek, gdyż wydawało nim przeciągłe wysokie dźwięki.

- Oddaj mi swoją duuuuszęęę! Daaaaj! Oddaj mi swoją duuuuszęęę!

Komendant podniósł brwi zaskoczony. Istota wyraźnie ożywiła się na jego widok:

- Haaa! Duszę!!! Człowieku, duszę, puchu marny...

- A co, ja – baba jestem?! – strażaka w końcu odetkało.

- „Puchu marny”. Mickiewicz się znalazł! Ja tu miałem wezwanie do uwięzionego kotka! Pożarteś kotka i wyjesz?!

Nastąpiła pełna skrupowania cisza. Komendant złagodniał:

- Kim ty w ogóle jesteś? – pajakiem po Czarnobylu? Diabłem?!...

Diabłem! - he, proboszcz mi nigdy nie uwierzy – ucieszył się.

Istota pokręciła głową.

- Jestem kłobuk – powiedziała. – Lubię jajecznicę, rozniecam ogień i noszę złoto. Umiem też spełniać niektóre łatwe życzenia. Ale mało kto słyszał dziś o kłobukach, więc udaję, że jestem diabłem. To ja byłem panią od kotka. Wczoraj dzwoniłem po karetkę, ale zanim przyjechali, nastał ranek, więc dzisiaj spróbowałem do straży pożarnej.

- Ale po co ty tutaj ściągasz ludzi? Żeby ich straszyć? Pożerać? Po co w ogóle są kłobuki?

Demon spuścił głowę i zaczął oglądać pazurki.

- Strasznie się nudzę – powiedział wreszcie po dłuższej chwili. – Chciałbym choć przez chwilę z kimś pogadać. Kiedyś było nas mnóstwo – różnych: żytnie baby, kłobuki, topniki... Odkąd ludzie w nas przestali wierzyć – odkąd w nic nie wierzą – na świecie przestało być zabawnie, bo istoty nadprzyrodzone nie zniknęły, ale zaczęły być niewidzialne. A tak przyjemnie było zabawiać się w wizje, dymy, wycie o północy pod wierzbami, wchodzić do domów, speł-

niać ludzkie zachcianki, obżerać się jajecznicą, mieć władzę nad duszami, wyobraźnią. Teraz przy jakichś efektach specjalnych ktoś najwyżej się zatrzyma, powie: „Kosmicil!” – i pójdzie dalej. Idiotyczne czasy! – westchnął. Popatrzył z nadzieją na komendanta. – Spełnię twoje życzenie, chcesz? A w zamian ty przez chwilę poudajesz, że się boisz i przyniesiesz mi jajecznicy, i wszystko będzie jak dawniej! – wylupiaste oczy demona zabłyśły. – Wiem! Dam ci za żonę najpiękniejszą kobietę na świecie! Będziesz szczęśliwy, a w zamian...

- O, nie nie nie nie! – przerwał pośpiesznie komendant. – Właśnie od niedawna jestem szczęśliwym singlem!...

- To może dam ci mnóstwo złota? Kupicie sobie nowy wóz strażacki. Chełmy, drabiny!...

- No przydałoby się, ale jak ja to w faktury wsadzę? W rozliczeniu rocznym księgowość nas zabije – bo niby „darczyńca: kłobuk”, tak? Nie da rady.

Demon jakby lekko przysiadł i zmałał. Wydawał się biedny i bezbronny.

- To może tylko weź mnie ze sobą?

Biedronek zbliadł.

- Weź mnie – kuśilo stworzenie. – Będę wam parzył herbatę, wyl zamiast syren na wozach. To okropne tak siedzieć i patrzeć, jak wszystko, co znależ, robi się coraz bardziej niewidzialne i nieprzydatne niczemu. No, prooszę!

Komendantowi zrobiło się żal kłobuka.

- Będę ci przynosił jedzenie w saszetkach.

- Zlituj się, nie jestem kotem! Potrzebuję towarzystwa, zabawy... – jestem miły i malutki!

- Taaak. Mówiłeś, że rozniecasz ogień?...

Kłobuk gorliwie pokiwał głową:

- Tak!! Rozfajcam wszystko w trymiga! Podpalić ci coś?

Komendant aż podskoczył:

- W żadnym razie!!! Cóż to za pomysł! Zabiorę cię na komendę i będziesz naszą maskotką. Ale! – i tu Biedronek podniósł wysoko stanowczy palec – w ramach prewencji!

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.republika.pl

Zespół redakcyjny: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau, Anita Romulewicz

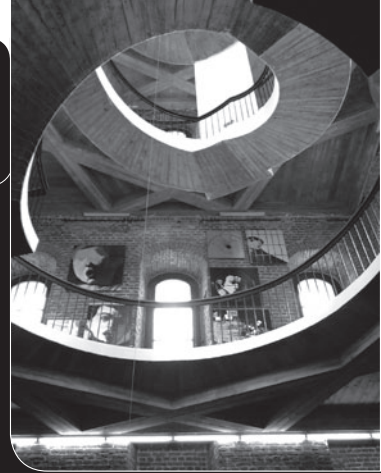
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika i skład: Przemek Kozak; kozak@sonc.pl

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



Wieża Kopernika we Fromborku. 2011 r.
Fot. ze zbiorów dokumentów życia społecznego WBP w Olsztynie

Mieszczanki i Mieszczanie!

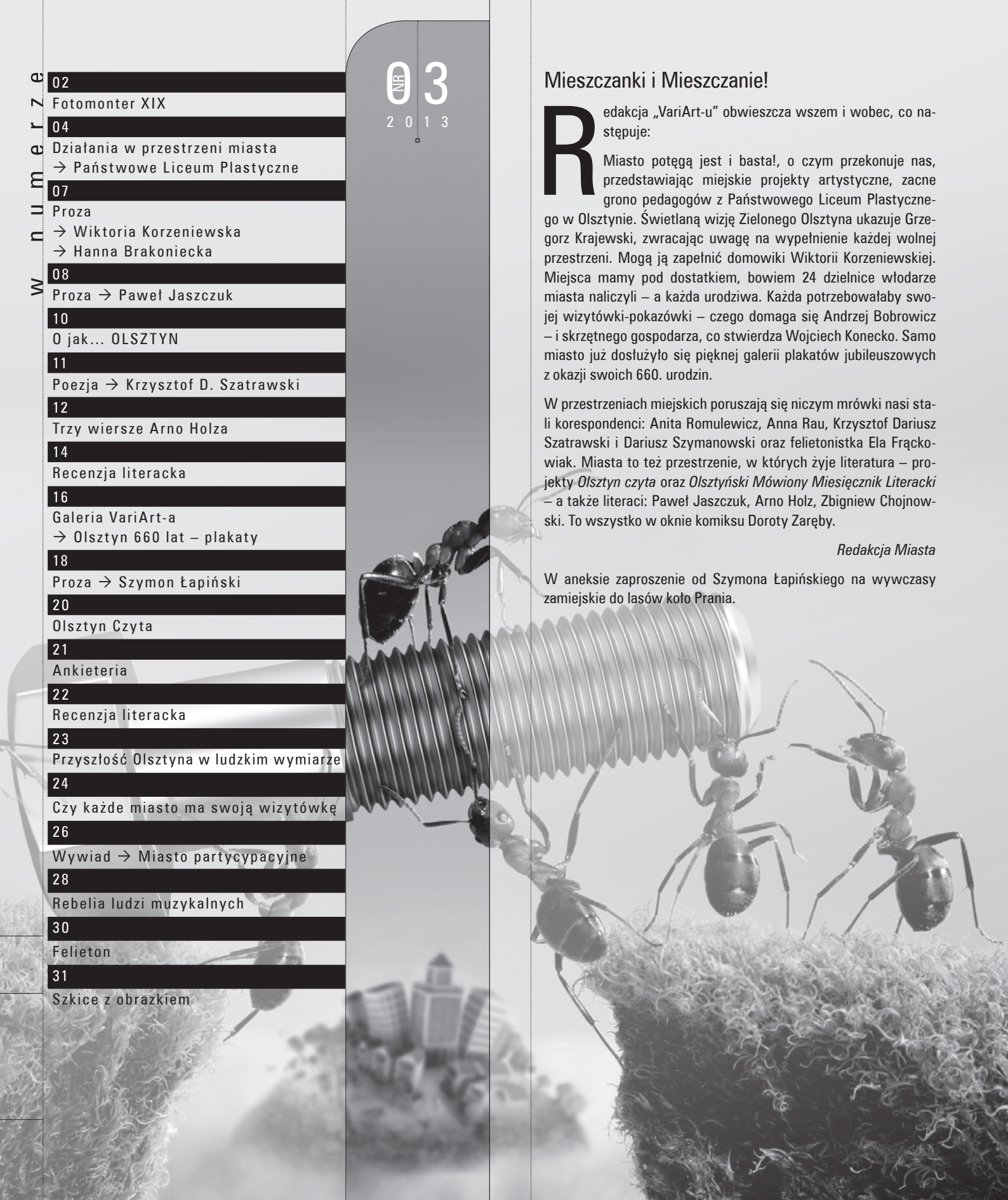
Redakcja „VariArt-u” obwieszcza wszem i wobec, co następuje:

Miasto potęgą jest i basta!, o czym przekonuje nas, przedstawiając miejskie projekty artystyczne, zacne grono pedagogów z Państwowego Liceum Plastycznego w Olsztynie. Świetlaną wizję Zielonego Olsztyna ukazuje Grzegorz Krajewski, zwracając uwagę na wypełnienie każdej wolnej przestrzeni. Mogą ją zapłacić domowiki Wiktorii Korzeniewskiej. Miejsca mamy pod dostatkiem, bowiem 24 dzielnice włodarze miasta naliczyli – a każda urodziwa. Każda potrzebowałaby swojej wizytówki-pokazówki – czego domaga się Andrzej Bobrowicz – i skrzętnego gospodarza, co stwierdza Wojciech Konecko. Samo miasto już dosłużyło się pięknej galerii plakatów jubileuszowych z okazji swoich 660. urodzin.

W przestrzeniach miejskich poruszają się niczym mrówki nasi stali korespondenci: Anita Romulewicz, Anna Rau, Krzysztof Dariusz Szatrawski i Dariusz Szymanowski oraz felietonistka Ela Frąckowiak. Miasta to też przestrzenie, w których żyje literatura – projekty *Olsztyn czyta* oraz *Olsztyński Mówiony Miesięcznik Literacki* – a także literaci: Paweł Jaszcuk, Arno Holz, Zbigniew Chojnowski. To wszystko w oknie komiksu Doroty Zaręby.

Redakcja Miasta

W aneksie zaproszenie od Szymona Łapińskiego na wywczasy zamiejskie do lasów koło Prania.



Działania w przestrzeni miasta

Państwowe Liceum Plastyczne im. Erica Mendelsohna w Olsztynie w roku 2013 obchodzi swoje 25-lecie

Aleksander Kuberski – Dyrektor PLP

Przestrzeń miejska.... Wciąż pojawiają się pomysły, jak w niej zaistnieć może nasza szkoła. Często propozycje przychodzą z zewnątrz, rodzą się we współpracy z różnymi organizacjami i osobami mającymi ciekawe pomysły na zagospodarowanie tej przestrzeni. My, pracownicy liceum, jeżeli temat jest ciekawy, próbujemy go dopasować do programu nauczania, wychodząc z założenia, że projekty w przestrzeni publicznej są jeszcze dla kogoś pożyteczne. Normą jest, że mnóstwo projektów trafia na przysłowiową półkę. Te nieliczne mają przełożenie na rzeczywistość. Dają uczniom możliwość działania w innej skali i satysfakcję z robienia czegoś ważnego. Poza tym wiążą bardziej uczniów z Olsztynem.

Ciągle też działamy wokół szkoły. Tutaj cała społeczność szkolna wpływa na tę przestrzeń. Pokazujemy szkołę jako instytucję sztuki, jako coś, co emanuje sztuką i trochę działa jak brakująca sztuka w mieście. Wielkie słowa. Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy średnią szkołą plastyczną, a nasza młodzież jest na początku swojej twórczej drogi.

Każdy projekt wykonywany przez młodzież licealną ma swojego opiekuna artystycznego. W latach ubiegłych realizowałem z młodzieżą spektakle uliczne, m.in. na temat ekologii czy AIDS. Do realizacji zapraszaliśmy młodzież innych szkół oraz profesjonalistów, na co dzień pracujących w teatrze. Współpracowali z nami reżyserzy, aktorzy, kompozytorzy, choreografowie – głównie ze stowarzyszenia „Unia Teatr Niemożliwy” z Warszawy. Wystawialiśmy te spektakle na placach Olsztyna, na obecnym placu Orła Białego, na Nagórkach, na Starym Mieście, jak również w Warszawie na Starówce. W tych przedstawieniach brało udział zawsze dużo aktorów-uczników (30-40). Były to działania efemeryczne, pojawiały się w przestrzeni i znikaly wraz z aktorami. Zapadały w pamięć. Robimy również realizacje, które stają się częścią architektury miasta i takie, które tworzą pewną markę, wzbogacają świadomość artystyczną czy kulturalną odbiorców.

Z „Borussią” realizujemy projekty upowszechniające postać naszego patrona Erica Mendelsohna. Działamy na terenie cmentarza żydowskiego i Bet Tahary. Myślę, że to jest przestrzeń, w której będziemy nadal aktywni, współpracując z „Borussią”. Jest ona nam bliska z powodu naszego patrona, jak i mając na uwadze cel wychowawczy. Uczymy naszych uczniów tolerancji dla innych kultur, walczymy z ksenofobiami. Na cmentarzu żydowskim już powstawały instalacje, jedną z nich realizowałem z Ewaldem Kornek. Była to instalacja muzyczno-światłowa – symboliczna menora w czas święta Chanuki. Świecznik mający 13 metrów między skrajnymi ramionami wisiał rozciągnięty między drzewami na wysokości 8 metrów.

Kolejną realizacją było działanie Adama Cieślaka – lodowe macewy. Ciekawym przedsięwzięciem wchodzącym w przestrzeń publiczną jest współpraca z PKS Olsztyn, którą koordynuje Ewald Kornek.

Z pewnością projektem edukacyjnym wkraczającym w przestrzeń miasta i ją dokumentującą była realizacja „kamery obscura” Karoliny Lewandowskiej, która znalazła środki z Funduszu Europejskiego na ten projekt. Pokazała w przestrzeni Starego Miasta zjawisko magiczne, znane od IV wieku p.n.e., leżące u podstaw fotografii.

Są też realizacje architektoniczne, np. wykonywana pod kierunkiem Adama Cieślaka płaskorzeźba Marii Zientary-Malewskiej, czy właśnie realizowana makieta starówki Olsztyna...

Adam Cieślak – nauczyciel rzeźby PLP

Projekty typowo rzeźbiarskie wykonywane „dla miasta” przez uczniów to bardzo fajna sprawa. Pozwala ona uczniom realizować pomysły, których nie mogliby podjąć, gdyby nie byli uczniami naszego liceum. Działanie takie jest wykonywane pod naszym patronatem i my jesteśmy gwarantami jakości. Niemniej wykonawcami są uczniowie. I tu pojawia się taki, powiedzmy, chochlik. Te rzeczy istnieją w przestrzeni i trzeba wziąć za nie odpowiedzialność, ale nie można pracy wykonać za ucznia. Ja się z tym zawsze najbardziej zmagam, bo nie chciałbym odebrać autorstwa uczniom, a z drugiej strony nie mogę dopuścić do tego, żeby zaistniało coś, co nie ma określonej wartości artystycznej. Jestem artystą, ale i pedagogiem, staram się wprowadzić młodzież w bardziej dojrzałe podejście do twórczości, uświadomić, że to się też wiąże z wykonywanym zawodem, że jest to etap, na którym można pomyśleć o swojej przyszłości. Przy żadnym projekcie nie chcemy wskazywać ucznia, który ma realizować zadanie, żeby w ich społeczności relacje były dobre, żeby każdy miał szansę zaistnieć. Często przeprowadzany jest wewnętrzny konkurs wśród uczniów i dopiero z tego wyłaniane są osoby, które realizują projekt. W przypadku płaskorzeźby Marii Zientary-Malewskiej projekt do końca prowadziły dwie uczennice: Sara Szerszunowicz i Natalia Nowakowska. A zewnętrzna komisja wyłoniła jeden, ten później realizowany, w tym przypadku projekt Sary.

Natomiast jeśli chodzi o samą realizację w przestrzeni, to w każdym działaniu trzeba brać pod uwagę czynniki ją kształtujące. W przypadku płaskorzeźby umieszczanej na elewacji ważne są podziały, styl, rozmiary tej ściany i zawsze światło. Bo płaskorzeźba wyjątkowo bazuje na złudzeniu optycznym i załamaniu światła. Kontekst miejsca jest pierwszym pretekstem do realizacji pomysłu. Trzeba wykonać dokumentację fotograficzną, rysunkową, dokładnie wymierzyć miejsce, tak by nie została zaburzona niepotrzebnie przestrzeń. Innym elementem ważnym w każdym projekcie umieszczanym nie tylko w przestrzeni jest znajomość osoby portretowanej, jej twórczości, w której pokazuje swoją wrażliwość. Kolejnym projektem, którego byłem opiekunem, wykonywanym przez uczniów dla miasta była realizacja makiety Starówki w Olsztynie. Jest to obiekt wolnostojący. Nad makietą w moim zespole pra-



Fot. archiwum PLP

cowały Ola Dobrzyńska, Milena Sątowska, Daria Głębowska i Dominika Nowoszyńska. Oglądaliśmy różne miniatury z różnych miast, które pomogły nam w wyborze naszej drogi, rozwiązywaliśmy problemy formalne z uczennicami. Nasza makieta jest uproszczona, bo w pewnym momencie trzeba było odpowiedzieć na pytanie, jaką funkcję ma pełnić. Ustaliliśmy, że dekoracyjność będzie tej funkcji szkodziła, stąd uproszczenia, synteza, granie prostymi bryłami, ale oczywiście z odniesieniami do dawnej architektury miasta.

Jedną z ciekawych realizacji, w których brałem udział, była współpraca z „Borussią”. Zagospodarowaliśmy przestrzeń wokół Bet Tahary, konkretnie teren cmentarza żydowskiego. Pierwsze klasy chodzą sprzątać cmentarz, przy okazji dowiadują się o naszym Ericu Mendelsohnie, kim był, zwiedzają Bet Taharę. W ten sposób zaczyna edukację z historii sztuki od naszego patrona i tego miejsca. Innym projektem realizowanym przez naszą szkołę wspólnie z „Borussią” były „Wzgórza tolerancji”, które robiłem razem z Bartkiem Świąteczkim. Był to projekt międzynarodowy, gdzie młodzież z Rosji i Litwy razem z naszą przeprowadzała działania na Osiedlu Grunwaldzkim. Powstała tam dokumentacja fotograficzna miejsc, były rozmowy z przechodniami o sztuce, tworzyliśmy graffiti i mozaikę. Brałem też udział z niemieckim artystą, Markusem Jordanem, w projekcie, w którym robiliśmy rzeźby lodowe. Razem tworzyliśmy lodowe macewy na cmentarzu, miały one zapisać miejsca po zniszczonych pomnikach. Macewy w specjalny sposób były podświetlone, tak, aby pokazać symbolikę światła. Lód miał zaistnieć, ale nie ingerować w miejsce, roztopił się i dzięki temu pojawił się zupełnie bezinwazyjnie w przestrzeni cmentarza.

Mówiąc o przestrzeni miejskiej, my, Polacy, jesteśmy dość mocno obciążeni patriotycznym podejściem do rzeźby i może to tej formy jest przewaga. Chociaż uważam, że i tak robimy mało nawet takich realizacji. Nie mówiąc już o projektach niezwiązanych z histo-

rią miejsca. Generalnie za mało jest realizacji takich jak pomniki, płaskorzeźby, instalacje. A to one przecież nadają wartość miejscu, tak jak architektura, można powiedzieć, jest monumentalną rzeźbą, tak rzeźba wpisuje się w przestrzeń zapisaną architekturą. Obecność dzieł sztuki wpływa na kształtowanie wrażliwości estetycznej, ludzie w tym dorastają – jeżeli tego nie ma, to efekt jest taki, że nie doceniamy tej wartości. Nie mamy zwyczaju stawiania pomników tylko ze względów estetycznych, pomników, które mają wartość artystyczną. Rzeźba przecież może wyrażać po prostu szczęście. Rzeźby parkowe, które są w Olsztynie, to kropla w morzu.

Ewald Kornek – Wicedyrektor PLP

Współpraca z PKS zaczęła się dwa lata temu z inicjatywy przedsiębiorstwa. Zgłosił się do nas dyrektor przewozu, Eugeniusz Hendoszek, z propozycją, żeby w przestrzeni ich holu pokazać nasze prace. Oczywiście bardzo się ucieszyłem, bo zawsze jest to okazja do prezentacji prac naszych uczniów poza murami szkoły. Ale założenie okazało się dosyć trudne. Hol PKS-u jest dużą przestrzenią, o której my, plastycy, możemy pomarzyć, ale trzeba ją zagospodarować dużymi pracami. Zaproponowałem PKS-owi zbudowanie postumentu, którym można jeździć po holu. Na nim zaprezentowaliśmy naszą pracę inspirowaną pracą Niki de Saint Phalle, to było dzieło jednej z moich uczennic, Marty Zawadzkiej, na zakończenie roku. Poprzez nasze działania nastąpiła zmiana przestrzeni dworca w przestrzeń galeryjną. Taki był początek. Później pojawiły się propozycje, żeby zagospodarować ścianę, która dzieli część dworca PKP od PKS, i tam wiosną tego roku powiesiliśmy gigantyczne dzieło o wymiarach 7 x 4 m, inspirowane Van Gogiem, ale z olsztyńskimi inklinacjami – bardzo syntetyczną panoramę Olsztyna. Młodzież pracowała nad tym dziełem w sali gimnastycznej. Oprócz tych realizacji w przestrzeni publicznej holu pokazujemy również ceramikę.



Wypożyczamy też PKS-owi „nasze” baby pruskie, które tam trafiają po wędrowce po miejskich placach.

Karolina Lewandowska – nauczycielka reklamy wizualnej PLP

Kamera obscura to projekt, który udało się wpisać w przestrzeń miejską. W czerwcu pojawił się na olsztyńskiej starówce sześcian o wymiarach 2,5 x 2,5 m. Można było wejść do niego. Wewnątrz był on całkowicie zaciemniony, z jedną białą ścianą. Przez dziurkę wpadało światło i na białej ścianie rysowało ono obraz starego miasta obrócony do góry nogami. Robiło to magiczne wrażenie. Prosty sześcian zaskakiwał. Osoby, które wiedziały, co to jest fotografia otworkowa, bądź te, które mają pewną wiedzę fotograficzną, zauważały ten obiekt jako kamerę obscurę i były bardzo zadowolone, że mogą wejść do środka i zobaczyć, jak to działa. Pozostali musieli dokładnie czytać instrukcję, a i tak często byli zdziwieni i nie do końca pojmowali, co to jest. Projekt zakończył się dwiema wystawami: w Urzędzie Miasta i w HaloGalerii MOK. Był to projekt „Młodzież w działaniu” z funduszy europejskich, który realizowali uczniowie naszego liceum, ja zaś byłam ich opiekunką artystyczną i merytoryczną. Podstawowym celem projektu było przybliżenie fotografii otworkowej jako techniki fotograficznej uczniom i mieszkańcom naszego miasta, głównie poprzez cykl warsztatów, m.in. dla grupy młodzieży romskiej. Pojawienie się w przestrzeni Starego Miasta dużego sześcianu z kamerą obscurą było podsumowaniem projektu. Duża, prosta forma z kamerą obscurą intrygowała mieszkańców i turystów przez dwa tygodnie.

Aleksander Kuberski

Od dobrych trzech lat zajmujemy się nową marką dla Olsztyna – babą pruską. Pomysł nie wyszedł z liceum, jego autorem był pan Tomasz Lella – architekt, który pociągnął za sobą Wydział Sztuki i naszą szkołę. W 2010 r. zrobiliśmy projekt, który nazwaliśmy „Olsztyn babą stoi”. Przewrotna nazwa baby pruskiej była kanwą, refleksją do działań z formą. Projekt charakteryzował się dowolnością plastyczną. Każdy mógł dowolnie pomalować replikę z poliestru. Baby pojawiły się w przestrzeni publicznej pojedynczo, grupkami. Wprowadziliśmy do miasta pewnego rodzaju zamieszanie i być może niektórzy mieszkańcy Olsztyna po raz pierwszy zobaczyli tę rzeźbę i tak na prawdę się z nią zapoznali, ponieważ ten niepozorny zabytek, stojąc na dziedzińcu zamku, nie przyciąga uwagi wszystkich zwiedzających. Nie każdy zdaje sobie sprawę z tego, jak jest cenny. Dla nas jest on pretekstem do stworzenia pomostu między Prusami a współczesnymi mieszkańcami tych ziem. Naszym zamiarem było też zmobilizowanie innych, by wykorzystali tę spopularyzowaną przez nas formę do działań promocyjnych Olsztyna jak również turystycznej komercji. Już babą pruską pojawia się w najprzeróżniejszej formie – od broszki po ceramiczną czy drewnianą pamiątkę. Słyszałem o pomysły piekarzy, którzy chcą stworzyć specjalny wypiek babopodobny. Zatem baby były strzałem w dziesiątkę, podobały się i turystom i mieszkańcom. Sesje fotograficzne z babami ożywiały przestrzeń miejską. Niektóre baby skradziono, jedną próbowano utopić w Łynie, co jeszcze zwiększało ich popularność. Stąd, już samodzielnie jako Liceum Plastyczne, staraliśmy się w kolejnych latach tę zabawę kontynuować. Pretekst pojawił się sam w postaci Mistrzostw Europy w piłce nożnej. Spróbowali-

śmy nadać babie pruskiej wizerunek poszczególnych reprezentacji. Realizowaliśmy ten projekt wspólnie z Julią Tarnowską. Baby były kontrowersyjne, bo dociekliwi widzowie dopatrywali się różnych nieścisłości w symbolice poszczególnych krajów, jak np. w babie reprezentującej Anglię. Żołnierz w niedźwiedziej czapie jest symbolem Wielkiej Brytanii, dlatego angielskość stworzyliśmy domalując królewskiemu wartownikowi flagę Anglii, którą trzyma w dłoni. Można powiedzieć, że mieszkańcy byli czujni. Baby-zawodnicy ustawieni byli na placu Jana Pawła II. W tej przestrzeni stanęły również przygotowane przez uczniów z rzeźbiarzem Ewaldem Kornek duże, kolorowe piłki, które były uzupełnieniem instalacji z babami. Drugą część instalacji stanowiła galeria kamiennych rzeźb, stojących w jednym szeregu. Multiplikacja kamiennych figur ustawionych wzdłuż południowej elewacji Starego Ratusza przyciągała uwagę. Inaczej jak ta samotna-oryginalna na dziedzińcu zamku. Ale przewrotnie dzięki nam zaczęto zwracać uwagę i na nią. Ta galeria sprzed Starego Ratusza zaopatrzona była w opis, czym jest babą pruska według kilku teorii naukowych.

Kolejną metamorfozą bab było w okresie bożonarodzeniowym przebranie dwunastu za Mikołaje.

W 2013 r. pojawiły się baby-szachy. Stwierdziliśmy, że powstający Park Centralny może mieć plenerowe szachy z figurami nawiązującymi do wykreowanego przez nas symbolu Olsztyna. Być może powinno być w tym parku takie miejsce dla ludzi, którzy lubią posiedzieć i pograć, np. w szachy. Są takie miejsca w innych miastach, np. w Krakowie. Było też takie miejsce w parku przy dzisiejszym CEiIK-u. Mieliśmy pomysł, żeby zrobić mniejszą babę, taką do 1 metra, która by mogła służyć jako figura na specjalnej granitowej szachownicy. Tymczasowo nasza zapowiedź plenerowych szachów ma większe rozmiary, gdyż wykorzystaliśmy repliki z poprzednich projektów o wys. 170 cm. Chcieliśmy w ten sposób przeprowadzić sondę wśród mieszkańców, czy chcą, by coś takiego znalazło się w tworzonego Parku Centralnym. Będziemy z pewnością jeszcze wracać do tematu szachów. Marzyłby mi się taki park, w którym symbol Olsztyna miałby swoją ludyczną, użytkową formę.

Mamy też inny pomysł działania w przestrzeni publicznej – „ogród sztuki” wokół szkoły. Posiadamy działkę, którą chcielibyśmy zamienić w galerię pod „chmurką”, do której w godzinach funkcjonowania szkoły miałby dostęp każdy mieszkaniec. Mógłby posiedzieć w ciekawie zaaranżowanej przestrzeni między ulicą Samulowskiego a Lanca. Znalazłyby się w niej rzeźby i ceramika, ale także ciekawie zaprojektowane ławeczki czy zieleń. Mogłoby to być kolejne miejsce parkowe, ale mocno związane z naszym liceum poprzez swój artystyczny charakter. Byłaby tu mała galeria, którą można by oglądać od strony ul. Lanca poprzez duże przeszkłone witryny. Zachęcalibyśmy również do wejścia do środka, ale przede wszystkim byłaby to galeria do oglądania w marszu – taki kontakt ze sztuką dla każdego, kto zbliży się w okolice „plastyka”. Natomiast od ul. Samulowskiego powstałaby podobna budowla, również przeszkłona, i tam można by zajrzeć, i zobaczyć, jak uczniowie pracują nad tematem rzeźbiarskim czy ceramicznym. Te działania to nasze plany na najbliższy czas i „skok na fundusze unijne” – te na lata 2014-2020. Jeśli zostaną zrealizowane, na pewno będą współtworzyły ciekawą przestrzeń wizualną naszego miasta.

Zebrała: Iwona Bolińska-Walendzik

DOMOWIK

Malutki talerzyk mleczka i kawałek ciasteczka.

- Dla kogo to?
- Dla domowika, mamó.
- Córeczko, domowiki nie istnieją.

Nie, one nie istnieją. Nie są małymi duchami, które mieszkają w każdym domu. Nie są duszą mieszkania i nie dbają o nie. Nie są malutkimi wąsatymi i brodatymi stworkami. Nie stają się silniejsze od tego, że dbasz o swój dom.

Domowiki wcale nie pilnują, by w twoim domu wszystkie rzeczy lepiej pracowały. I nie chronią domu przez złym urokiem, nie wyganiają gości, którzy mają złe zamiary i czarną duszę. Nie chronią mieszkania od pożaru. Nie kochają.

Domowiki nie istnieją.

Malutki talerzyk mleczka i kawałek ciasteczka.

- Dla kogo to?
- Dla domowika, mamó.
- Córeczko, domowiki nie istnieją. Wierzmy w Pana Jezusa.

Domowiki nie istnieją. Nie idą za swoim panem, kiedy ten przeprowadza się do innego domu. Nie łączą swojego istnienia z największym garem, w którym nigdy gotowano główną strawę. Nie dbają o domowe zwierzęta i nie łagodzą ich obyczajów. Nie wykonują za domowników pracy, którą zostawili. Nie wyją z bólu, gdy zbliża się śmierć kogoś z ich domu.

Domowiki nie istnieją.

Malutki talerzyk mleczka i kawałek ciasteczka.

- Dla kogo to?
- Dla domowika, mamó.
- Córeczko, domowiki nie istnieją. Wierzmy w Pana Jezusa.

To grzech wierzyć w domowiki. Zabierz talerzyk i ciasteczko.

Domowiki nie istnieją. Nie pragną uwagi i miłości mieszkańców. Nie chcą ich pamięci. Nie pragną zaledwie małego talerzyka mleczka i kawałka ciasteczka. Nie potrzebują uśmiechu i ciepłej myśli.

Nie rozbijają talerzy i nie zrzucają książek z półek, kiedy są niezadowolone. Nie mają w sobie gniewu. Nie potrafią ze złości sprowadzić na pana domu śmierci. Nie zjadają z głodu tych, którzy mieli ich karmić.

Domowiki nie istnieją.

Malutki talerzyk mleczka i krwi kropeczka.

(30/31.01.2012)

prezentuje z „Olsztyńskiego Literackiego Miesięcznika Mówionego”

Przeptywy sennie

To nasze spotkanie raz w roku bardzo nas cieszyło. Do końca przerwy miałyśmy jakieś dwadzieścia minut. Na szybkie mówienie, dotykanie się i śmianie. Zawsze takie zalatane, teraz mogłyśmy się pocieszyć tą nagle zdobytą obecnością. Iza nie była w jury, ale co chwila podchodziła, żeby opowiedzieć jakąś historię

- Wiecie, co mi Jasiek rano dzisiaj powiedział? Mamusiu, mnie się dzisiaj śniły motylki! A wiesz, co się śniło Krzysio? Chmurki, słoneczko i niebo. A skąd ty możesz wiedzieć, co Krzysio śni, przecież jeszcze nie mówi. No przecież on trzyma głowę przy mojej, dotykamy się głowami, jak śpimy.

Dominiki absolutnie to nie zdziwiło:

- To jest oczywiste. Ja też, jak śpię z synkiem, wyłapuję jego sny. O szkole, o miasteczkach z klocków lego. Czasem, jak się mocno przytulę, wpadam do snów męża.

Śmiałyśmy się rozbawione. Iza kontynuowała:

- A potem Jasiek się pyta, co tobie się, mamusiu, śniło? Nic, nie pamiętam, nic mi się nie śniło. To nie przyszła do ciebie senna wróżka? Trzeba ją wołać, to przyjdzie.

Dominika dużo śni. Jej sny są też kojące:

- Mnie nawiedza senna wróżka, kiedy jest mi źle, wpadam w jakieś depresyjne stany. Wtedy przysyła mi moją ukochaną babcię, która umarła, gdy miałam osiemnaście lat. Babcia podchodzi do mnie i delikatnie głaszcząc mnie po ramieniu, znikają wówczas wszystkie smutki.

Teraz ja, przecież też mam sny:

- Przeptywanie snów i mnie się zdarza. Kiedyś spałam w łóżku mojego syna i synowej, gdy wyjechali do Rzymu, pilnowałam im domu i psa. Miałam wtedy obłądne, kosmiczne sny, jakich nigdy nie miewam. Leciłam przez gwiazdne mgławice, przenikałam rozmaite wymiary. Pamiętam ogromne hale, w których czaiły się nieziemskie moce. Dopytałam go po powrocie. To był sen syna.

Pozanurzałyśmy się w swoich snach.

- Ja tylko snów mojego kota nie lubię. Ten grubas się czasem tak uwali na mnie, a ja muszę się zmagać z jego marzeniami. Bo śnią mi się wtedy tłuste szczury, smakowite, pyszne, ślinka mi do nich leci. W moich snach czasem widzę taki tort, albo ciasteczka, szczególnie wtedy, gdy jestem na diecie. Ale te szczury, na które mam taki apetyt w snach. Fuj, z tym kotem.

(20.04.2013)



POKÓJ PRZECHODNI (fragment)

P R O L O G

Mężczyzna rozwiązał krawat, ściągnął go jedną ręką i rzucił niedbale na krzesło, wsłuchując się w szum wody, dobiegający z kabiny prysznicowej. Był spragniony kobiecego ciała, tak jak może być spragniony ten, którego kobiety omijają szerokim łukiem, bo na nie nie zasłużył. Do tej pory szło mu gładko. Ta, którą do siebie zaprosił, była świeża w odróżnieniu od poprzedniczek. Młoda, naiwna dziwka, jakie czasem kręcą się przy hotelach w poszukiwaniu wrażeń. Zaliczył ją, a może jego wyobraźnia znowu poprowadzi go na manowce i da jej życiową nauczkę. Był podekscytowany. Lubił tę nieokreśloność, która budziła się w nim, gdy wyzwolony z hamulców płynął za swoim pragnieniem, jakby niosła go wezbrana rzeka.

Ledwie o tym pomyślał, szum prysznicza ucichł. Na ten znak niespiesznie zdjął koszulę, odpiął pasek i spuścił spodnie, przydeptując nogawki piętą. Potem wypił butelkę zimnej coli z lodówki i zgasił lampkę. Zadowolony rzucił się na łóżko i czekał.

Nie lubił światła. Światło odbierało mu przyjemność. Przekreślił żaluzje, by żaden promyk-szpieg ze stojących za oknem latarni go nie rozpraszał. Za drzwiami naga dziewczyna, której imienia nie pamiętał, puszczała na swoją cipkę i pod pachy strumień dezodorantu. Psik-psik, jakby chciała się zagazować. Pomyślał, że na dobrą sprawę mógłby być jej ojcem. Poznał ją przed godziną w barze hotelowym. Siedziała przy bufecie i gapiała się na niego z idiotycznym uśmieszkiem. Postawił jej drinka, więc mu wyznała, że szuka opiekuna na wieczór. Po namyśle zgodził się, zaznaczając ze śmiechem, że jeśli go czymś zarazi, odszuka ją i poderżnie jej gardło.

Lalka nie była w jego typie. Miała marny biust, zgaszone spojrzenie i przeciętne nogi, nawet w wysokich szpilkach, w których poruszała się jak kłępa. Przyszło mu do głowy, że mógłby dla zabawy odsprzedać ją do jakiegoś burdelu, ale ta gra nie warta była świeczki. Dziewczyna mówiła płynnie po francusku, choć z pewnością nie była Francuzką. Słyszał w jej akcencie jakąś denerwującą skazę, którą od razu wychwycił. Bułgarka, Czeszka, a może zarozumiała Polka? Nie było to ważne. Nie zamierzał z nią przecież gadać, zresztą o czym? O swoim zaszranym życiu? By dawała mu głupie rady? Z żadną nigdy nie gadał. Cenił jednorazową rozkosz, którą ofiarowywały mu przez łzy. Na wspomnienie swoich dokonań poczuł w kroczu niemal fizyczny ból. Widział twarze i miejsca. Niektóre sceny wciąż do niego wracały, jak fragmenty dawno obejrzanych filmów. Przypominał sobie towarzyszące tym miejscom dźwięki i zapachy ciała, z których bił strach. Rozerwana halka, krew na prześcieradle, błaganie o litość w parku, nieśmiała prośba lub modlitwa, szeptana naprędce jak idiotyczny wierszyk.

Kiedy trzasnęły drzwi od łazienki, przesunął się na bok, robiąc na łóżku wolne miejsce. Po chwili materac z lewej strony ugiął się delikatnie, więc wyciągnął zachłannie rękę, szukając młodego ciała, lecz jego otwarta dłoń niespodziewanie trafiła w pustkę. Ponow-

nie machnął ręką, lecz zamiast dziewczyny znalazł rzuconą byle jak poduszkę. Nie lubił takich żartów. Zeżłony chciał się wyprostować, lecz poczuł nagle na udzie zimne, metaliczne dotknięcie i jego ciało spał elektryczny łuk. Przeszył go potworny ból. Mózg zareagował właściwie i nogi po szalonych drgawkach błyskawicznie zwiotczały. Jego silne ręce leżały przy tułowi jak niepotrzebne przedmioty z rozcapierzonymi palcami.

Próbował coś powiedzieć, lecz głos uwiązł mu w gardle. Na próżno wpatrywał się w ciemność, starając się coś dojrzeć w hotelowym pokoju. Leżał tak przez kilka minut, łapiąc oddech jak wyrzucona na brzeg ryba. Powoli wracała mu świadomość. Usiłował zacisnąć oporne palce i wstać, gdy poczuł nagle cuchnący zapach płynu, jaki używa się do czyszczenia muszli klozetowej. Miał go pod samym nosem. Chciał odwrócić głowę, lecz silne uderzenie w grdykę, zmusiło go do otwarcia ust. Nerwowo zaczerpnął powietrza i wtedy do jego gardła wlała się ohydna, żrąca ciecz.

Palił się od środka, wytrzeszczając oczy w ciemność, którą tak lubił. Gdyby nie stracił przytomności, może usłyszałby głos w mowie, którą posługiwał się od dziecka.

- Nasze rachunki się wyrównały. Dziś dopisało mi szczęście.



*

Zmierzchało. Krajobraz za szybą rozplywał się w deszczu, a wycieraczki nie nadążały zbierać wody, gdy kierowca ostro wdusił hamulec. Taksówka wryła się kołami w podziurawioną nawierzchnię, a siedząca z tyłu pasażerka uderzyła głową w przednie siedzenie.

- Niech pan, do cholery, uważa! – krzyknęła, rozcierając czoło.

- Uważam! Całą drogę uważam! Jak pani chce, to mogę nawet przeprosić!

- Nie potrzebuję łaski.

- Jak nie, to nie! – skwitował kierowca i pokazał na jakiś punkt w oddali. – To będzie tam. Dalej nie jadę!

- Oszalał pan? – powiedziała dziewczyna. – Zostało ze dwieście metrów i leje jak z cebra!

- A zwróci mi pani za resory? – ciągnął mężczyzna tym samym zarozumiałym tonem.

Pasażerka zrezygnowana sięgnęła do torebki.

- Ile się należy?

Taksówkarz w milczeniu popukał palcem w licznik. Dziewczyna odczytała kwotę i podała mu banknot.

- Co to za kamienica? – spytała, obserwując strugi deszczu wściekle atakujące szyby auta.

- Zwyczajna, a jaka ma być? – wysapał kierowca, odliczając resztę. – Miała tu być ponoć luksusowa dzielnica, ale wokół są torfy i bagna, a ziemia nawet na cmentarz się nie nadaje.

Przerwał wyjaśnienia, gdyż z centrali wywołała go dyspozytorka i poinformowała, że przy kościele czeka na niego zakonnica.

- Ja to mam dzisiaj szczęście! – odetchnął ciężko i wręczył klientce resztę wraz z wizytówką. Potem skulony wyskoczył na deszcz, by wyjąć z bagażnika walizkę.

Pasażerka rozłożyła parasolkę, wzięła bagaż i ruszyła w stronę rysującego się w oddali budynku.

- Niech pani na siebie uważa! – doleciało do niej, a potem trzasnęły drzwiczki i krople spadające na parasol zagłuszyły szum silnika.

Jeszcze przez chwilę światła wytłwiałały z ciemności nierówną drogę. Potem jasne smugi wycelowały w brązowy las, omiotły ugor, trafiając w kępę wybujałych ostów.

Wiał porywisty wiatr zacinający deszczem, więc dziewczyna zasłoniła się parasolką, która niebezpiecznie się wygięła i szarpnęła mocno, jakby chciała się wyrwać do nieba. Ostrożnie stawiała stopy, omijając dziury w asfalcie, w których stała woda. Zaaferowana nie przypuszczała nawet, że od kilku minut obserwuje ją z daleka para ruchliwych oczu.





Iwona Bolińska-Walendzik

OLSZTYN

O

jak odkrycie tajemnego przejścia, skrótu. Jak wejście pod górę, a właściwie pokonanie 112 schodów.

Skrót urozmaicił moją drogę do pracy. Zaczyna się on przejściem z ul. Wyzwolenia, między dwiema zaniedbanymi kamienicami. Gdy tam skręcisz, nawet w dzień, obawiasz się, co może cię tam spotkać. Wyjście jest już mniej tajemne. Cały skrót – 112 schodów – nosi imię Karola i Roberta Małków, jest ulicą, która skręca o 90 stopni i przeistacza się ze stromych schodów w całkiem normalną arterię miejską dochodzącą do Curii-Skłodowskiej. Są na niej domy, kamienice, instytucje. Jednak skrót im. Małków to 112 schodów biegnących wzdłuż ogrodzenia boiska szkół – liceum i gimnazjum. Rano widzę tam grającą w piłkę młodzież. Druga strona skrótu to niezabudowany skwer, zboczne, stromizna, gdzie ta sama młodzież spotyka się na przerwie, po czy przed szkołą w celu zaciągnięcia się świeżym powietrzem i porozmawiania o różniczkach, całkach i trygonometrii. Ja na szczęście te rozważania mam już z głowy. Chodzę tam tędy dla widoku, który roztacza się stamtąd na Olsztyn.

112 schodów to jakieś szóste piętro. Panorama na starówkę, czerwone dachy, wieże kościołów i zamku zapiera dech i tak zaparty, bo pokonanie 112 schodów to poranny wysiłek.

O

jak oniryczna wieża, tym razem ponad 350 metrowy maszt radiowo-telewizyjny. Oczywiście ma ona/on konkretne zastosowanie, abstrahując od właściwego przeznaczenia, dla mnie jest wskaźnikiem, kierunkowskazem, szpicą dającą znak, w której części okolicy znajduję się ja, a w której bywa Olsztyn.

Maszt widać z odległej o ponad 20 km, leżącej na południowy wschód od Olsztyna Purdy, gdzie z tarasu znajomych przyglą-

dam się mu i wypatruję, co dzieje się na niebie nad moim miastem. Widać go z drogi na Warszawę, gdzie czasami trzeba się udać i skąd również wrócić, a gdy już błysnie nad horyzontem w drodze powrotnej, czuję się prawie jak w domu. Widać go ze wzgórz od strony Gutkowa, skąd roztacza się moja ulubiona panorama na plamami rozlewające się poniżej Jezioro Krzywe i zbliżający się z każdym rokiem Olsztyn.

W dzień wieża jest ciemną kreską, a w nocy kilkoma błyskającymi, czerwonymi punktami. Gdy się jej przyglądasz z dość bliska, widzisz metalową, ażurową konstrukcję niemal wieży Eiffla. I chociaż nasza jest wyższa, sławą starszej Pani nie dorówna. W mieście a to pojawia się, a to znika, za kolejnymi obiektami, budynkami, wzniesieniami – ciężko nadążyć za nią.

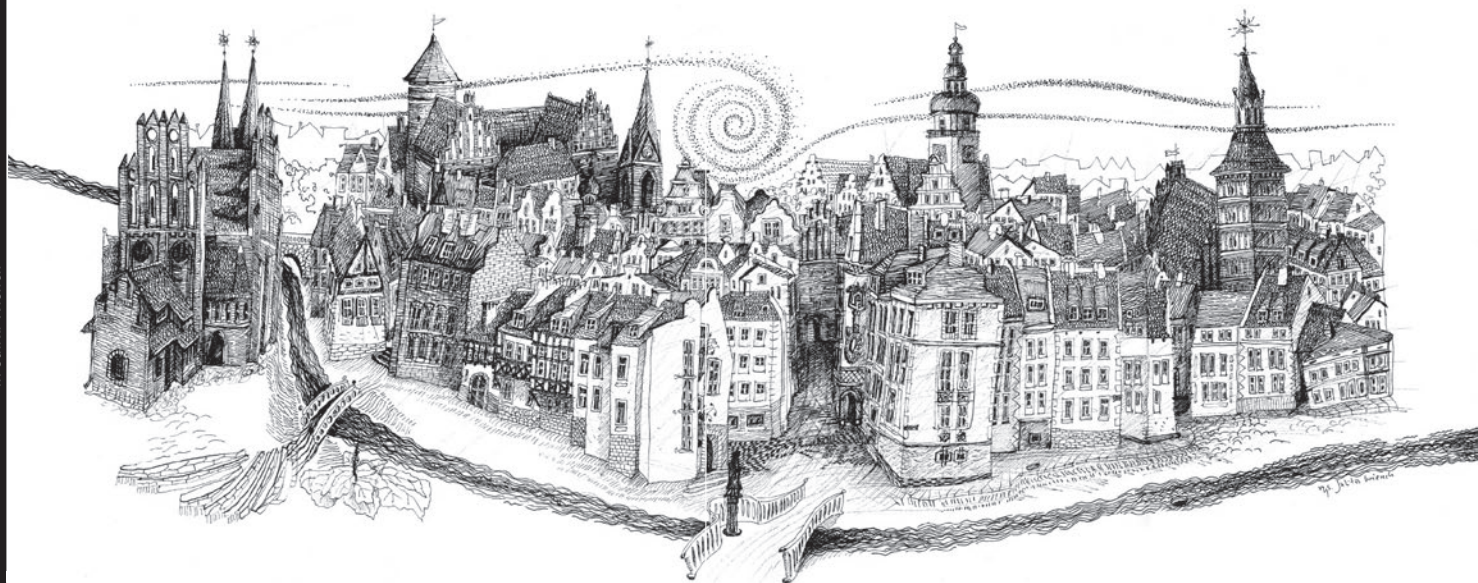
W końcu widać ją też z powierzchni jeziora Skanda, jak góruje swym misternym rysunkiem nad lasem rosnącym na brzegu. Zażywając kąpieli w tym jeziorze w letni wieczór, miałam wrażenie, że to wielka wędka, na którą zaraz się złapię.

O

jak oklejający wszystko upał, który i do nas zawitał, jak co roku o tej porze. Może nie aż taki jak w chorwackim Szybeniku, jednak móżg i tu, i tu w godzinach sjeisty odmawia posłuszeństwa. Pracowity dzień trzeba przeżyć, zmierzch przynosi trochę orzeźwienia, odrobinę ochłody.

Tego wieczoru trafiłam do sąsiadów, którzy mieszkają kilka domów dalej. Z ich okien Jezioro Długie widać jak na dłoni. Siedzieliśmy na balkonie, który prawie nie posiadał balustrady. Delikatne metalowe linki oddzielały nas od półmroku.

Jezioro Długie, a konkretnie ścieżka wokół niego po remoncie, stało się miejscem bardzo atrakcyjnym dla olsztynian. Oglądaliśmy szalejących rowerzystów, rolkarzy, biegaczy, ekwilibrystykę tych bardziej zaawansowanych poruszających się w przód, a nawet czasem w tył. Podglądaliśmy przemierzających się samotnie, parami, rodzinami, ich trasa wzmożonego ruchu biegła tuż pod nami. Mogliśmy się bezkarne przyglądać, jak tracą kalorie, nabierają tężyzny.





My na balkonie z piwem i ciastem porzeczkowym w ręku. Piękny wieczór. Ruch powoli zamierał, na niebie pojawiały się kolejne ciała niebieskie. Zobaczyłam pierwszą spadającą gwiazdę tego lata, była jak zwykle zbyt szybka, nie zdążyłam pomyśleć życzenia.

0

jak w opalizującej wodzie pływając, zobaczyć siedzącego pod jesionem Buddę.

A on ze swoim uśmiechem szczęśliwości czyta książkę, w której ktoś zawarł swoją wiedzę, wrażliwość, czy prawdę. Czy Budda w stanie nirwany czytałby książkę?

Podpłynęłam bliżej. Budda zamienił się w jowialnego mężczyznę w dodatku bez lektury.

Skąd to przywidzenie? Tego dnia gazety zakomunikowały, że można już korzystać z Jeziora Krzywego, zakwit sinic nie zagrażał już naszej populacji, a jednak coś jeszcze musiało być w wodzie.

0

jak ostrość wzroku utkwiona w jeziorze.

Siadłam na ławce pod akacjami. Szkoda, że to nie końcówka maja, bo wtedy kwiaty tych drzew pachną niesamowicie. Teraz lato upaja zapachem delikatnej bryzy od jeziora. Zapachy lata na początku sierpnia osiągają swe apogeum po to, by zaraz wpaść czy zatopić się w jesienną melancholię. Ale na razie można o niej nie myśleć i wpatrywać się w środek Jeziora Długiego, gdzie kormorany suszą skrzydła.

Na jednym brzegu jeziora trójkątne szczyty poniemieckich domów, drugi tonie w ciemnej ścianie lasu, z wyraźnym rysunkiem rudych pni sosnowych. Oba brzegi spina most, z oddali nie widać jego betonowej, brzydkiej konstrukcji. Dobiega stamtąd gwar kąpiących się plażowiczów.

W górze pasma leniwie płynących obłoków. Sielanka...

Za mną hałas ulicy Bałtyckiej.

Sznur ponad 30 000 samochodów przejeżdża, przetacza się, tłoczy w ciągły doby tę północno-zachodnią arterią Olsztyna.



Krzysztof D. Szatrawski

teoria wielkiego wybuchu

najpierw jest wybuch, musi być coś
czego nie pamiętamy
później tylko dym, ciemność i mgła
nasze nogi brodzą w nieczystościach
ślizgamy się na nierównym gruncie
który porusza się i uderza w nas
z całą mocą naszej inercji

kiedy budzi nas sygnał karetki
odzyskujemy przytomność
na chwilę

nie czując bólu
i nie rozumiejąc sensu
nie możemy uwierzyć, że na początku
był wielki wybuch

a przecież
musimy komuś zaufać

teraz wracamy do zdrowia
oto magiczna moc teorii
rzeczywistość kwili cicho

teoria małego wybuchu

siedzimy przy stole
kiedy pies wyczuwa zbliżającą się kanonadę
i wyjąc ze strachu chowa się w łazience
pod schodami, próbuje się wcisnąć
pomiędzy ścianę i kaloryfer
już zaczynają

po chwili rzeczywistość
suche stęknienia pękają w ciemności
to pierwsze strzały ku czci świętowania
później mocniejsze, na potwierdzenie
męskości, powagi, wolności albo czegoś
co głębiej schowane

zanim naprawdę zaczną
wysadzać panoramę miasta, zanim wystrzelą
tysiące rac, racek i raciczek
na cześć bożka wolnego rynku i owczego pędu
wniosą jakiś toast, a później trafią w oko
opatrność nad chmurami

i mały wybuch jest może
początkiem czegoś, co właśnie się zaczyna
ludzie zamiast bać się boga
ciskają w niebo gromy
czas kręci się w miejscu i nie ustaje, jak
oszalałe ze strachu zwierzę



Zbigniew Chojnowski

Trzy wiersze Arno Holza

r e c e n z j a

Na Warmii i Mazurach pamięć o Arno Holzu ożyła dopiero po 1990 r., m.in. za sprawą publikacji Erwina Kruka, przedsięwzięć translatorskich i edytorskich „Borussii” oraz przeróżnych działań Stowarzyszenia im. Arno Holza. Ten poeta, dramaturg i teoretyk nowej poezji urodził się w Rastenburgu (dzisiejszym Kętrzynie) 1863 r., a zmarł w Berlinie w 1929. Kętrzyńanie 150. urodziny twórcy uczcili konferencją, wystawami, książkami, uroczystościami. Rok 2013 w Kętrzynie należał do Arno Holza.

Pod wpływem rocznicowych działań zacząłem przeglądać czasopisma z przełomu XIX i XX w. w celu znalezienia pierwszych tłumaczeń wierszy Holza na język polski. W tamtym okresie bowiem o autorze w polskiej prasie oraz w kręgach literackich Krakowa i Lwowa dyskutowano. Mimo to z trudem udało się odszukać zaledwie trzy przekłady.

W 1888 [1889?] w „Kalendarzu Robotniczym” wychodzącym w Krakowie ukazał się liryk proletariacki *Z poddasza*. Pochodzi on z wczesnego etapu twórczości Holza, kiedy to nie odrzucił jeszcze tradycyjnej formy poezji i rymował. Wiersz, przełożony na język polski przez nieznanego tłumacza, ma charakter antykapitalistyczny. Mówi o bezsilności biednych ludzi, pozbawionych prawa do godziwej pracy i godnego życia. Poeta woła: „hańba – losem jest ubóstwa”.

Następny liryk pt. *W Parku (Im Thiergarten. Ein Gedicht)* opublikowało „Życie” (1898, nr 31), redagowane przez Stanisława Przybyszewskiego, który znał Holza osobiście z okresu berlińskiego. Utwór we własnym przekładzie zamieścił w artykule *Listy z Berlina* Kazimierz Rakowski (1874-1952). Historykom jest on znany jako weteran Powstań Śląskich i poseł Sejmu Śląskiego. Warto też

wiedzieć, że wydał kilka książek. W 1905 ogłosił trzy pozycje: baśń dramatyczną *Droga pielgrzymstwa*, której okładkę i winiety rysował Stanisław Wyspiański; opracowanie *Walka w obronie narodowości polskiej pod berłem pruskim* oraz „pamiętnik wojenny” *Trzy lata w więzieniu pruskim*. We Lwowie zapowiadał się jako dramaturg, wydając tu utwór na scenę *Ocknienie* (1900).

Wiersz *W Parku* Rakowski zaczerpnął z *Fantazusa* Holza, a więc z nowatorskiego poematu, w którym poeta wdrożył zasady „konsekwentnego naturalizmu”: „fotograficzny” obiektywizm, odpoetycznienie obrazowania i bezrymowość. Zauważmy ponadto, że zapisywał wersy oryginalnie, wyśrodkowując je.

Autorem trzeciego przekładu jest jeden z najwybitniejszych poetów młodopolskich, Leopold Staff (1878-1957). Liryk Holza od słów „Nocą świętego mojego gaju” znalazł się w czasopiśmie „Krytyka” w roczniku z 1902. We Lwowie działało Kółko Literackie, w którego spotkaniach uczestniczył Staff. I to on wygłosił odczyt o poezji Holza (rękopis wystąpienia znajduje się do dziś we lwowskim archiwum obok wielu innych świadectw polskiego piśmiennictwa). Staff znał teksty Holza z pierwszej ręki, gdyż nasz poeta perfekcyjnie posługiwał się językiem niemieckim (tłumaczył także m.in. pisma filozoficzne Friedricha Nietzschego). Utwór odwołuje się do wyzwolonej wyobraźni. Zapowiada dwudziestowieczne przemiany w poezji europejskiej. W przekładzie buntownicza fantazja osiąga bujny, choć nie zawsze zrozumiały wyraz.

Współczesnymi kontynuatorami tłumaczy wierszy Arno Holza sprzed ponad stu lat są: Erwin Kruk, Grzegorz Supady, Andrzej Kpacki, a ostatnio szczególnie Krzysztof D. Szatrawski.

Arno

Arno Holz

Z poddasza

Miesiąca twarz przez szybkę wpada,
Po dachu zimny wiatr kołacze:
Tam dziewczę kona u sąsiada,
Jej matka płacze, płacze, płacze...
Włos siwy już od trosk i nędzy,
Na twarzy tkwi rozpaczny znak,
Poranku czeka jak najprędzej.
Aptekarz nie da bez pieniędzy.
A doktor? Jemu „czasu brak”.

Na niebie gwiazdy świecą ze dna,
Nad nami krąg się sklepi.
O, przestań płakać, matko biedna,
Twojemu dziecku będzie lepiej!
Już więcej nocą bezlitosną
Nie będzie szyciem męczyć rąk.
A na jej grobie razem z wiosną
Czerwone róże wnet wyrosną
I wszędzie słońca złoty krąg.

Potrzeba – głodnym krzykiem mnóstwa
Kpi z wielkich mistrza słów z Nazaret –
Bo hańba – losem jest ubóstwa.
A losem hańby jest – lazaret!
Potwory miast w codziennej walce
Roboczą piją krew i trud.
Więc biedni strzeżcie się służalce.
Bo świat ten nasz ma brudne palce,
A kała serce jego brud!

Lecz cicho! Słychać – kona... kona...
A teraz straszny krzyk rozpaczny!
Co począć? Toż nie pierwsza ona.
Taki to zwykły los biedaczy...
Już jutro wóz wywiezie biedną
Za miasto do cmentarnych bram.
Gdzie wreszcie serce ludzkie jedno
W grobową, zimną noc bezwiedną
Znalazło szczęście swoje tam!

Przekład anonimowy

W Parku (*Im Thiergarten. Ein Gedicht*)

Usiadłem w parku na ławce i pałę,
Cieszy mnie piękne słońce przedpołudnia,
Przedemną woda błyska w kanale,
A w niej się niebiosy przeglądają, kołysząc oba brzegi.
Przez cichy mostek powoli jedzie na koniu porucznik.
Zaś pod nim,
Pomiędzy odbiciem zwieszających się konarów kasztana,
Które w wodzie wykonują ruchy jakby
Wielkiego korkociągu
Jego własna sylwetka się kołysze.
Kukulka kuka.

Przełożył Kazimierz Rakowski

Nocą świętego mojego gaju
Strzeże siedemdziesiąt krów z brązu.
Tysiąc kamiennych, pstrych lamp połyska.
Na czerwonym tronie z laku
Siedzę w miejscu świętym świętych.
Nade mną
Przez santalowe belki powały,
W wyciętym prostokącie
Lasia gwiazdy.
Mrużę oczy.
Gdybym teraz powstał,
Barami bym z kości słoniowej zgruchotał powałę,
A diament owalny na moim czole
Obszczerbiłby księżyc.
Niech tłusci kaptani chrapią w spokoju.
Ja nie powstanę.
Siedzę z podwiniętymi nogami
I w własny wpatruję się pępek,
Który jest krwawym rubinem
Na nagim brzuchu ze złota.

*Przełożył Leopold Staff
Odnalazł i podał do druku Zbigniew Chojnowski*

Mała wielka iluminacja

Arno Holz, pisarz oraz literaturoznawca, urodzony w 1863 r. – roku polskiego powstania styczniowego, a zmarły w 1929, za granicą uważany jest za jednego z ważniejszych twórców niemieckiego modernizmu i do tego – za po stokroć godnego zainteresowania. W Polsce ów poeta jest tak bardzo nieznan, iż wydaje się to zadziwiające wszystkim, którzy poznali jego twory. A przecież Holz jest tak bardzo nasz, czyli mazurski. On sam zapewne nazwałby się wschodniopruskim, skoro jego dzieciństwo upłynęło w Kętrzynie, czyli ówczesnym Rastenburgu w Prusach Wschodnich... – ale to bez znaczenia. Jest „tutejszy”, jak Erich Mendelsohn czy Marion Dönhoff.

Niedawno nakładem kętrzyńskiego Stowarzyszenia im. Arno Holza dla Porozumienia Polsko-Niemieckiego ukazało się „kompletne wydanie [tomiku Arno Holza] w oryginalnej wersji niemieckiej z lat 1898-1899 i w przekładzie na język polski”, czyli zbiór poematów *Fantazus*. Trzeba dodać – w świetnym przekładzie Krzysztofa D. Szatrawskiego. Bardzo trudno jest napisać zaledwie kilka słów o tomiku wierszy, z którego każdy zasługuje na osobną, solidną analizę z interpretacją. Ów zbiór utworów był już za życia pisarza regularnie przez niego poszerzany, a cyzelowany – niemal aż do śmierci, dlatego też jest niezwykle zróżnicowany pod względem tematyki i form kolejnych poematów. Dzięki temu można obserwować dojrzewanie Holza jako twórcy, dostrzegać następujące w nim zmiany oraz odmienności tak w pojmowaniu rzeczywistości jak i w sposobach jej koncentracji w słowach. Kętrzyński poeta jest więc na kartach *Fantazusa* i romantyczny, i metafizyczny, i malarski, i dziecięcy, i dziwny, i ekspresyjny, i wycofany, i impresjonistyczny, i kpiarski, i marzycielski, i naiwny, i... Ach, te jego pojawiające się w nagłych błyskach pamięci dzieciństwo, wizje zachodów słońca, opisy kolorów na liściach drzew wiśniowych, wizerunki krągłych bogiń zerkających spod wypukłych powiek, objawienia smukłych elfów na bystrzych wierzchołkach. Częstokroć w jego wierszach pojawiają się, na przykład, idylliczne miasteczka – które z pewnością można interpretować jako zwielokrotnioną metaforę przedpolskiego Kętrzyna – oraz obraz świata, który przeminał. To najczęściej liryczne, proste opisy ówczesnej rzeczywistości, zmysłowe utrwalenie tego, co najbardziej ulotne: zapachów, kolorów oraz dźwięków. A jaki był ów świat? – „cały pachniał kawą”, był kosmosem czerwonych dachów i dżunglą kłębiących się roślin w ogrodzie Mohdrickerów oraz labiryntem dymów z kominów. Istniał jako partia operowa na gdakanie kury, uderzenia młotka kotlarza Thiela, ćwierkanie kłócących się wróble oraz drganie rynn rodziny Knorrów. Wszystko to zapamiętał mały Arno, a utrwalił z wielką lekkością już jako dojrzały mężczyzna – momenty słodkiego rozleniwienia paradoksalnie połączone z ponadprzeciętnie naprężoną samoświadomością i współodczuwaniem wszystkiego.

„Pośród wzgórz w promieniach słońca / nad rzeką leży miasteczko. // (...) pod zaśniedziałą starą kopułą / zegar na wieży // (...) Jeszcze trzy małe kreski / i wszyscy obywatele / zasiądą punktualnie do obiadu. // Dwunasta! // Dzisiaj sobota i wszędzie podaje się omlety (...).” Mały, znany świat, gdzie wszystko jest lekko prześwietlone światłem słońca, bezpieczne i oswojone. „Trzy uliczki / domki jak pudełka z zabawkami / prowadzą na spokojny rynek. // Stary źród przed kościółkiem szemrze / Lipy pachną // Oto całe miasteczko”. I pojawia się odwieczne pytanie nie tylko tych, którzy obecnie czytają, ale i samego wspominającego: czy tak było rzeczywiście, czy to tylko patyna czasu przykryła inne aspekty dawnej rzeczywistości: smutek, dramaty, zimno i ciemności. Holz zresztą do końca życia zachował owo baczne i wiecznie zdziwione spojrzenie małego dziecka. Jego twory – wszystkie – oddają zachwyt, zdumienie, ciekawość chłopaczka, który zagląda przez szczelinę do wnętrza starego młyna i, czując dreszcz na dźwięk nagłego kukania kukuli, widzi „wewnątrz: / słoneczne promienie i motyle!”. Nic więcej. A jednak nastrój i umiejętnie wznoszone napięcie daje ostatecznie odczucie iluminacji, małego objawienia, wielkiego powrotu do szczęścia. To rodzi postawę utożsamienia z naturą i swoistego schowania się w niej.

Jak uważny był Holz, tak potężny minimalistą słów oraz impresjonista chwil, że – zdawałoby się – zapatrzoną w strofy z Dalekiego Wschodu. W jego opisach poranków, wieczorów, chwil nocnych widać pewien stały rys: jakiś moment nagłego zatrzymania się oraz jednoczesnej analizy swoich odczuć. „Pod białymi obłokami lata – / kołyszą się kwiaty i trawy, jestem tak cudownie zmęczony”. Poeta jednocześnie zawiera w swych strofach niezwykłą czułość na dźwięki, na moc i ulotność zapachów, na zmiany w natężeniu światła i głosów. Unosi się pod obłokami, płynie na fali rzeki, widzi ostro i najgłębiej odczuwa każdy najdrobniejszy szczegół spośród otaczających go zjawisk. Jego wiosna to „grube, żółte kaczeńce! // Murawa połyskuje, bogowie lśnią”. Szuka „werbeny życzeń”. Marzy: „W moim sercu / śni się obraz małej dziewczynki / z rozchyłonymi ustami i śmiejącymi się oczami”. Dostrzega: „Jak czarne ropuchy praświata / nieruchome, / przycupnęły przy drodze jałowce”.

Jego nieograniczona w swej ekspresji wyobraźnia wchodzi również w Inne Światy: podwodne, podziemne, nadprzyrodzone, czasem straszne, czasem uroczne – jak w starych opowieściach o zagubieniu się w nie naszej rzeczywistości. „Toczą się we mnie rozgwiezdy i stare korony. // Moje zielone córki, / z morską włosach, / tańczą. // Jestem powodzią, jestem ciemnością (...)”. Holz potrafi więc straszyć, przenikać dreszczem, udawać szept, to mistrz napięcia. Ukazuje żywe trupy kochanków, tęskniących dawną przegniłymi sercami, potwory o siedmiu jeziorach, wygrzewające się na słońcu, olimpijskich bogów podczas rozwiązanej sjeści.

Nieprzewidywalny jest Holz i kpiarski. „Na swej szczęśliwej łące Alleluja / nie znosi me radosne serce żadnych cieni. // Rude roześmiane rubensowskie święte / tańczą z nagimi, wiedeńskimi praczkami kankana”. To zadziwiająca świeżością ujęcia mieszanina niewinności i prostej, nieskomplikowanej zmysłowości. To barokowa przeplatanka prozy z wzniosłością – mgła nierozzerwalnej więzi sacrum z profanum, w którą poeta wchodzi, jakby z ulgą opuszczał nastroje rozmarzenia i nostalgii, tak często pojawiające się na kartach *Fantazusa*, zyskując bawiącą go rubaszność: „Pod załamującymi się drzewami wątrobianki / Coreggio całuje Jo. // Nikt się nie krępuje. // Goethe, ten psubrat, kładzie sobie na kolanach grubą Vulpus”. Czyż nie przypomina to scen z okresu średniowiecznego karnawału, rozpaczliwego pograżania się w odmętach różnorodnej rozpusty tuż przed głębokim rzutem w okres postu? Łamanie wszystkich barier tabu, aby tym mocniej przyłgnąć do wyrzeczeń? Czy tego pragnął Holz? – zapomnieć, zatracić się w odpuszczeniu sobie wszystkich niedoskonałości? A może pragnął w ten sposób odrzucić prześladowający go obraz strasznego mieszczanina, który „nie może znieść ptasiego ćwierkania. (...) // Jego mózg / jest całkowicie wytapetowany watą. // W środku / kuca mała rokokowa Wenera / i sika srebrem / do złotego nocnika”.

Cały *Fantazus* to lekkość i autentyczność, co – w wypadku strof autora nie będącego pochodzenia polskiego – zawsze znamionuje dobrą pracę translatorską. Wielki podziw należy się więc tłumaczowi temu, Krzysztofowi D. Szatravskiemu, który nie tylko ogarnął świat wyobraźni Arno Holza i nie tylko potrafił oddać tak trudne w przekazaniu niuanse języka niemieckiego na język polski, ale i doprawił obcą mowę szczyptą finezji, sprawiając, że nie jest sztywna i nieożywiona, lecz wielowymiarowa i poruszająca.

Na specjalną uwagę zasługuje również niezwykła w dzisiejszych czasach forma wydawnicza tomiku. Obecnie książki zazwyczaj marketingowo epatują kolorami, usiłując za wszelką cenę pochwycić swoją powierzchownością nabywcę. *Fantazus* jest inny. Budzi zaciekawienie przemyślaną prostotą i szacunek – wysmakowaną skromnością ilustratorską (jednobarwne grafiki, mnóstwo światła, przyjazna jakość papieru).

Całość – po prostu klasa.

Fantazus : kompletne wydanie w oryginalnej wersji niemieckiej z lat 1898-1899 i w przekładzie na język polski / Arno Holz ; przeł. i post. opatrzył Krzysztof D. Szatravski ; [il. Jerzy Baranowski]. – Kętrzyn : Stowarzyszenie im. Arno Holza dla Porozumienia Polsko-Niemieckiego, 2013.



Arno Holz. Fotografia z 1905 r. Źródło: www.zeno.org

PLAKATYKONKURS – OLSZTYN 660 LAT

20 grudnia 2012 r., z okazji 660-lecia nadania praw miejskich Olsztynowi, ogłoszono otwarty konkurs na plakat promujący nasze miasto. Konkurs trwał do 11 marca 2013 roku i objęty został Honorowym Patronatem Prezydenta Olsztyna. Zadaniem uczestników było wykonanie plakatu promującego Olsztyn, powiązanego z historią miasta, jego kontekstem kulturowym i artystycznym. Określono format afisza – 50 x 70 cm lub 100 x 70 cm, ponadto powinno być na nim znaleźć logo miasta oraz napis „Olsztyn 660 lat” oraz – ewentualnie – daty „1353-2013”.

Na konkurs wpłynęło łącznie 138 prac, w tym w kategorii profesjonalnej (studenci i absolwenci uczelni artystycznych) – 67, dziecięco-młodzieżowej (uczniowie szkół podstawowych, gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych) – 55. Dodatkowo wyodrębniono 16 prac, co do których komisja konkursowa miała zastrzeżenia regulaminowe.



Marta Opalińska, III nagroda, absolwentka Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego

Jako że konkurs miał charakter ogólnopolski, prace napłynęły m.in. z Warszawy, Gdańska, Torunia i Krakowa. Plakaty reprezentowały najróżniejsze formy: od syntetycznych po bardzo rozbudowane formalnie i treściowo. Oceniała je komisja konkursowa w składzie:

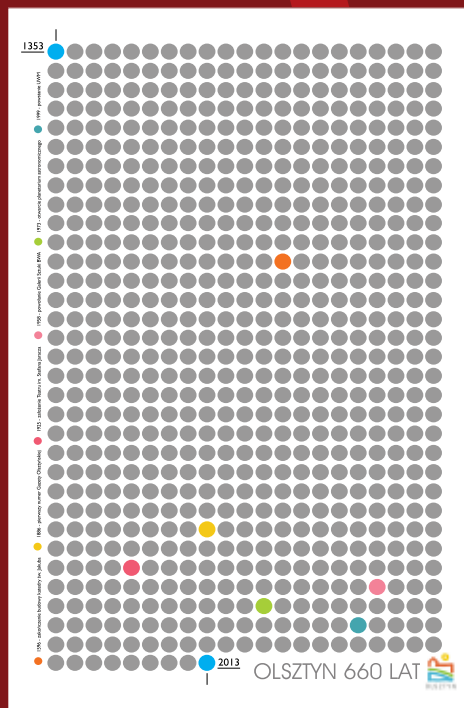
- Przewodniczący: dr Antoni Grzybek, adiunkt w Zakładzie Grafiki na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego;
- Tadeusz Burniewicz, projektant graficzny, artysta plastyk;
- dr Violetta Kulikowska-Parkasiewicz, adiunkt w Zakładzie Grafiki na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego;
- Gabriela Konarzewska, Kierownik Referatu Kultury Wydziału Kultury, Promocji i Turystyki Urzędu Miasta Olsztyna;
- Małgorzata Jackiewicz-Garniec, Dyrektor BWA.

Komisja konkursowa zakwalifikowała do udziału w wystawie pokonkursowej 37 prac.

28 marca 2013 r. w BWA Galerii Sztuki odbył się wernisaż wystawy pokonkursowej, na której ogłoszono wyniki.



Nikodem Pręgowski, I nagroda, absolwent Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu



Zofia Krześlak, II nagroda, studentka Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu



Oskar Jamrozek, absolwent Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego



Iwona Michalska, absolwentka Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego



Michał Pawlicki, absolwent Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu



Justyna Krzywicka, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku



Szymon Łapiński

Pranie snów

proza

Autor prowadzi blog <http://mozebycdobrze.blogspot.com/>. Jest studentem dziennikarstwa na UWM-ie. Marzy o napisaniu mało ambitnej książki, która spodobałaby się ludziom...

Zawsze twardo stąpałem po ziemi. Nie wierzyłem w istnienie Świętego Mikołaja, driad, leśnych elfów czy innych bajkowych stworów. Dlatego tak mnie zaskoczyło, kiedy w miejscu, które nazywałem „swoim podwórkiem”, odnalazłem magię.

Pewnego słonecznego dnia leniwie wylegiwałem się w ustroju mojego letniskowego domku. Podczas wypoczynku wpadła mi do głowy myśl: pomimo wielu spędzonych tutaj dni, na skraju Puszczy Piskiej, zdałem sobie sprawę, że nigdy nie porwałem się na żadną dłuższą wyprawę po terenie. Co prawda nie raz pływałem kajakiem na krystalicznie czystym odcinku Krutyni, który ku mej uciechy znajdował się tuż obok mojej działki, jednak moja ambicja domagała się czegoś więcej.

Kiedy wszedłem do wnętrza domku, zmęczony smagającymi mnie promieniami popołudniowego słońca, w oczy rzuciła mi się mapa. Tłustą żółtą czcionką napisane na niej było „Puszcza Piska”. Rozłożyłem ją na stole i zacząłem szukać atrakcyjnego celu wycieczki. Natrafiłem na Stadninę w Gąlkowie. Jako pasjonat jazdy konnej, niewiele się zastanawiając, zacząłem przygotowania do mojej małej ekspedycji. Właściwie poza spakowaniem plecaka z jedzeniem i mapą, nie było wiele do zrobienia. Z piwnicy wyprowadziłem nieznośnie skrzypiący rower, który od dwudziestu lat był na wyposażeniu domku. Napompuwałem sflaczałe opony i popadłem w chwilowe rozważania nad nieśmiertelnością przymocowanego do kół mechanizmu dynamo.

W następnej chwili już rozpędzałem maszynę. W takiej komecie z zeszłego wieku nie mogło oczywiście zabraknąć drucianego bagażnika oraz starego dzwonka, który w akompaniamencie przerdzewiających mechanizmów regularnie dawał o sobie znać. Za każdym razem, gdy nieopatrznie najechałem na jakąkolwiek nierówność, rower wydawał z siebie serię dramatycznych pisków, stuknięć i trzasków.

Droga po przejrzaniu mapy wydawała się prosta. Ot, kilka kilometrów jazdy i miałem dojechać na miejsce. Tam dwie godziny spędzone w siodle i powrót. Planowałem wyrobić się przed zmrokiem. Niestety, musiałem pomylić leśne drogi, bo kiedy słońce schowało się za horyzontem, wciąż byłem w szczerem polu. Nie było naokoło mnie zupełnie nic, a ślady ludzkiej obecności od pewnego czasu nie występowały. Zapadająca ciemność zmusiła mnie do przerwy w jeździe (dynamo jednak nie zdawało egzaminu). Pod głowę podłożyłem sobie plecak i rzuciłem się na zapadającą w sen łąkę. Dopiero teraz zmęczenie dało mi się we znaki. Głęboko ziewnąłem i chwilę później odpłynąłem do krainy snów.

Nie wiem, ile czasu minęło, ale kiedy obudziło mnie wycie

wilków, było już zupełnie ciemno. Tylko księżyc swoim lekkim światłem oświetlał otaczającą mnie polanę. Nigdy nie uważałem zwierząt za zagrożenie. Nigdy jednak nie słuchałem wycia watahy wilków w takich okolicznościach: byłem sam, nie miałem ognia, broni, schronienia ani nawet doświadczenia survivalowego. Zaczęło robić się nieswojo. Szczególnie, kiedy za moimi plecami usłyszałem szmery. Aby nie popaść w paranoję, wytłumaczyłem sobie, że to wiatr. Niestety mój sceptyczny umysł nie dał się tak łatwo oszukać i zerknąłem na korony otaczających mnie drzew. Nic. Ani krztyny ruchu. Powietrze niezmaczone. Noc była spokojna jak śpiące niemowlę. Nagle w trawie na skraju lasu zobaczyłem światełko. A raczej coś, co odbijało światło. Idealnie okrągły kształt mienił się w ciemnościach. Chwilę później dołączył do niego jeszcze jeden. Zaraz zjawily się następne dwie pary. Wtedy do mnie dotarło. To były ślepie patrzące wprost na mnie. Znów usłyszałem wycie wilka, tym razem był blisko. Bardzo blisko. Mimo, że nie uważam się za osobę bojaźliwą, nie wytrzymałem. Szarpnąłem z ziemi rower i zacząłem uciekać.

Jechałem, jak najszybciej tylko potrafiłem. Nie zwracałem uwagi na ciemności. Rower, jakby udzielił mu się mój strach, żałośnie lamentował. Czulem oddech wilków na karku. Moją twarz do krwi smagały gałęzie, które uderzały mnie podczas jazdy. Znów dobiegło mnie wycie. Bardzo blisko. Tuż obok mnie. Między drzewami zobaczyłem przemykające cienie. Za plecami usłyszałem tupot łap. Na chwilę odwróciłem się i moje przerażenie osiągnęło poziom krytyczny. Zobaczyłem żółte kły i wywalony jęzor. Oczy wilka – owładnięte przez instynkt, gotowe, by zabić. Oczy podobne do oczu tych, którzy w piątkowy wieczór mieszały alkohol z wesołymi pigułkami.

Zobaczyłem, że wilk skoczył. Jego kły nieuchronnie się zbliżały. Wtedy poczułem, jak obejmuje mnie cudowne uczucie nieważkości. Czas zwolnił. Wilk oddalał się, a ja szybowałem dalej. Nie wiedziałem, co się dzieje, ale czulem wszechogarniającą mnie błogość. Wataha została gdzieś tam. Daleko, wysoko. Coraz wyżej. Tylko odprowadzały mnie wzrokiem, a ja czulem, że udało mi się uciec. Radosny i świadom swojego szczęścia. Beztroski.

Coś mocno mną szarpnęło, wbiło mnie w ziemię. Dzwoneczek roweru wydał ostatnie, żałosne tchnienie. Poczułem, jak coś trzasnęło mi w ramieniu. Rower złamał się wpół. Dotarło do mnie, że za tę słodką chwilę przyjemniej nieważkości długo będę musiał spłacać raty grawitacji.

Mój oszołomiony wzrok rozejrzał się po okolicy. Spadłem z wysokiej i stromej skarpy. Wilki nie miały odwagi, żeby biec za mną. Tuż przed sobą zobaczyłem lekkie światło. Ciepłe światło świecy,

zamknięte we framudze okna. W domu ktoś był. Widziałem, jak płomień, który oświetlał wnętrze, delikatnie tańczył. Chwilami rzucał cień na ścianę. Cień osoby siedzącej przy biurku. Wstałem i poszedłem w stronę leśniczówki. Powlekając nogami i czując w ramieniu przeszywający ból, doszedłem do drewnianego ganku. Pokonałem dwa schodki i zastukałem kołatką. Dużo głośniejszy, niżbym tego chciał. Roztrzęsione ręce napompowane adrenaliną nie potrafiły jednak zrobić tego delikatnie.

Usłyszałem kroki. Drzwi się otworzyły i moim oczom ukazał się czterdziestokilkuletni mężczyzna ze świecą w ręku.

– Kto się tak dobija po nocy, nawet w środku puszczy człowiek spokoju nie ma – powiedział, zbliżając świecę do mojej twarzy. Ale gdy tylko zobaczył pożałowania godny stan, w jakim się znajdowałem, od razu zmienił ton. – Co ci się stało, dzieciaku, wchodź, wchodź!

I tak oto znalazłem schronienie przed wilkami. W środku było ciepło i przytulnie. Zobaczyłem biurko, przy którym mężczyzna pracował, gdy obserwowałem go przez okno. Pełne było świeczek i zapisanych kartek. Gospodarz podał mi kubek pełen ciemnej substancji. Smakowała okropnie, pachniała jeszcze gorzej, ale przyjemnie rozgrzewała. Niepewnie usiadłem na skraju fotela.

– Konstanty Ildefons – wypalił nagle podając mi rękę.

– Andrzej Wajda – odparłem, myśląc, że żartuje. Wymieniliśmy się uściskami dłoni. Miał lodowate ręce. Wydało mi się to szczególnie dziwne, biorąc pod uwagę ciepło panujące wewnątrz chaty.

Opowiedziałem mu, jak tu trafiłem. Podczas rozmowy opróżniłem kilka butelek wina, a on nastawił i obandażował moje ramię. Okazało się, że trafiłem do Leśniczówki Pranie. Pokazał mi ją na mapie, którą wyjąłem z kieszeni. Zaoferował mi nocleg. Niewiele myśląc, zgodziłem się, bo niespiesznie mi było stawiać czoła szalejącym w okolicy wilkom.

Wraz z upływem nocy i kolejnych manierek z winem zaczęliśmy rozmawiać o tym, o czym każdy podпиты mężczyzna gada z innym podpitym mężczyzną. Opowiadaliśmy o tych, które stanęły nam na drodze, które wspominamy z pewnym sentymentem. Krzyczyliśmy: „ze wszystkich kobiet świata najpiękniejsza jest noc”. I ryczeliśmy jak dzieci, wspominając te jedyne. Później oczywiście zebrało nam się na śpiewy. „Pierwsza pieśń o przyjaźni. O obowiązku druga. A trzecia – o ojczyźnie”. I tak wrzeszczyliśmy do księżycy, przekrzykując skonfundowane wilki. Chodziliśmy naokoło leśniczówki. Rozmawialiśmy o historii i poezji. Nawet pokłóciliśmy się o nadużywane przez niego archaizmy i mój beczelny sposób

wypowiedzi. Gdyby nie żalosny stan, w jakim się znajdowałem, oraz jego żelazna zasada „gość w dom, Bóg w dom”, mogłoby dojść do rękoczynów. Podczas tej wymiany zdań wino zdążyło już zrobić swoje. Mimo błahych sprzeczek wzajemne towarzystwo przypadło nam do gustu.

W końcu poczułem się wykończony, a słońce zaczęło już wschodzić. Zdecydowaliśmy, że to już czas iść spać. Z przechadzki po okolicy wracaliśmy w milczeniu. Po chwili naszym oczom ukazała się Leśniczówka. Myśląc tylko o łóżku, od razu poszedłem w stronę drzwi wejściowych. Okazało się jednak, że mój towarzysz ominął je, by udać się do ogrodu. Zachowywał się tak, jakbym nie istniał. Powtarzał tylko: „A nam się śnią polowania, paprocie, jelenie i strzelby”. Dopiero teraz zobaczyłem, że jego skóra błyszczy się w mdławym, porannym słońcu, przebijającym się nieśmiało przez korony drzew. Stawiał coraz cięższe kroki, aż wreszcie usiadł na trawie. Podszedłem do niego. Chciałem pomóc wrócić mu do domu. Złapałem go za ramię i spróbowałem poderwać do góry. Ani drgnął.

Wtedy do mnie dotarło. Mój towarzysz był zimny i ciężki. Cała jego postać nabrała teraz jednolitej mosiężnej barwy. On po prostu stał się pomnikiem! Przez długą chwilę nie mogłem zrozumieć tego, czego właśnie byłem świadkiem. Otworzyłem z wrażenia usta. Stałem jak wryty, obserwując statuetkę, która jeszcze przed chwilą wznosiła ze mną toasty. Zrobiło mi się słabo. Zatoczyłem się i upadłem.

Obudziło mnie dopiero ostre popołudniowe słońce. Głowa mi pękała, a w barku czułem pulsowanie. Wkoło mnie leżały szczątki rozbitego roweru. Pamiętałem wczorajszy wieczór jak przez mgłę. Przypomniałem sobie ucieczkę przed wilkami i upadek. Nie wiedziałem, jak długo tu leżałem. Co więcej, nie wiedziałem, gdzie jestem. Przede mną stała obrosnięta pięknym bluszczem chata. Leśniczówka, jak podejrzewałem. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że z kieszeni wystaje mi mapa. Zaznaczona na niej była Leśniczówka Pranie i Spychowo, w którym to znajdowała się moja działka. Wstałem. Świat zawirował. Mój organizm pracował trochę tak, jakbym wczoraj przedobrzył. Pomyślałem, że to przez uderzenie. Z szacunkiem i niejaką dumą spojrzałem na skarpe, z której spadłem. Robiła wrażenie. Otrzeptałem się i ruszyłem w drogę powrotną.

Gdy po kilku godzinach marszu dotarłem do domku, byłem wykończony. Rzuciłem się na wersalkę i poczułem, że coś wbija mi się w bok. W kieszeni znalazłem nietypowy kamień. Od tamtej pory noszę go w portfelu. Zawsze, gdy na niego patrzę, przywołuje w mojej głowie niewyraźne wspomnienia. „W dzień niebo się zaśmiewa, a nocą rozgwieżdza, gwiazdy w gniazda spadają. Żal będzie stąd odjeżdżać”.

Olsztyn czyta



Zwykle kryjemy się w półmroku wieczoru, w bezpiecznym szeleście kartek i zapachu papieru. Nawet jeśli robimy to publicznie, wciąż chroni nas niewidzialna tarcza wyobraźni. Bo wbrew pozorom czytanie w przestrzeni miejskiej pełne jest intymności. Mamy w głowach tysiące światów, znamy mnóstwo opowieści, pamiętamy ulubionych bohaterów jak dobrych przyjaciół. My, Czytający, nie rozumiemy pytań w stylu: kiedy znajdujesz czas, żeby czytać? Przecież wcale nie musimy tego czasu szukać. On po prostu jest naturalnie wpisany w nasz harmonogram dnia lub nocy. Bo przecież wystarczy chwila, żeby uciec do świata literatury. Nie wierzysz? Kiedyś Hemingway napisał „Na sprzedaż: buty dziecięce, nigdy nie noszone” (*For sale: baby shoes, never used*). Nie daj się zwieść, to nie ogłoszenie. Po prostu założył się, że napisze najbardziej wzruszającą i smutną historię wszechczasów. Zakład wygrał. Właśnie przeczytałeś tę opowieść. Wystarczyło Ci kilka sekund. Stąd naszym zdaniem argumenty, że na czytanie nie starcza czasu, są mocno przesadzone. No tak, ale my czytamy. I Wy, którzy teraz z nami podążacie ścieżką tych słów, również. Nie Was powinniśmy przekonywać, że czytanie jest cudowną przygodą, zabawą, sposobem na rozwijanie siebie i poznawanie świata wokół. Wy już to wiecie. Zdaje się, że nastał czas, by się ujawnić. Wyjść z tych naszych kątów, wstać z domowych foteli, zawałczyć o swoje miejsce na ławkach w miejskich parkach, krzeselkach przy kawiarnianych stolikach. Czas, żeby nas bardziej było widać w pociągach, autobusach, na plaży. Czas, żebyśmy głośno zawołali, że Olsztyn czyta! Kiedy wciąż grzmiało, że coraz nas mniej, że statystycznie w zasadzie nikniemy w oczach, to rodzi się gdzieś w czytelniczej duszy bunt! Bo przecież czytamy! Jesteśmy! Że nie pół książki rocznie! Po kilka na miesiąc! Niech nas już nie wrzucają do obszernego worka i nie rozkładają na ogół ilości przeczytanych przez nas książek. Niech i nas w końcu będzie widać! Może się okaże, że jednak coraz nas więcej, że jest jeszcze szansa. Z tego buntu właśnie narodziła się idea, która miała swój oficjalny początek 23 kwietnia 2013 r., a w zasadzie nieco wcześniej... Na kilka tygodni przed Światowym Dniem Książki wystartowaliśmy z kampanią opartą na niedopowiedzeniach i prowokacyjnie pytaliśmy na Facebooku olsztynian, gdzie lubią to robić. A kiedy już wiedzieliśmy mniej więcej, jak się sprawy mają, postanowiliśmy ich przyłapać na czytaniu i nagrodzić! Tak więc wraz z oficjalnym rozpoczęciem akcji „Olsztyn czyta!”, która jest w zasadzie akcją-matką mnóstwa mniejszych inicjatyw, zaczęliśmy jeszcze głośniejszą mówić o czytaniu i pokazywać, że Czytający są wśród nas. Akcja „Olsztyn czyta!” stała się też pretekstem do połączenia działań instytucji komercyjnej, jaką jest Książnica Polska, z Miejską Biblioteką Publiczną w Olsztynie, które to podpisały porozumienie o wzajemnym wsparciu na rzecz propagowania czytelnictwa. Dzięki temu użytkownicy MBP w Olsztynie zyskali spory zastrzyk nowości w swoich bibliotekach, a ci, którzy wolą mieć książki na własność, z kartą biblioteczną dostali gwarant zniżki

w księgarniach należących do Książnicy Polskiej. A to dopiero początek. Pod hasłem „Olsztyn czyta!” kryje się wiele spontanicznych akcji, takich jak na przykład działania Agentek... Po prostu czasem wychodzimy w miasto i szukamy Czytających. Mogliście nas spotkać nad Jeziorem Długim, na Starym Mieście, w Parku Kusocińskiego, na plaży miejskiej. Organizujemy czytelnicze imprezy plenerowe – animacje dla dzieci, głośne czytanie na trawie, zabawy wokół książek i ich bohaterów. Nagradzamy napotkanych Czytających książkami, audiobookami, zakładkami. W naszym koszyczku mamy też oczywiście przypinki promujące akcję. A ci, których napotykamy na swojej drodze, reagują niezwykle pozytywnie. Staramy się być tam, gdzie ludzie odpoczywają, gdzie czas płynie im wolniej i gdzie książka mogłaby być idealnym dopełnieniem relaksu, ale też tam, gdzie na pierwszy rzut oka na czytanie nie ma miejsca. Chcemy, by było widać Czytających. Że są i mają się dobrze. A może ktoś zainspirowany też sięgnie po książkę? Może, jadąc autobusem albo czekając w kolejce do kasy, przeczyta kilka zdań choćby e-booka w telefonie? Bo chociaż książki papierowe kochamy nade wszystko, to nie odwracamy się od nowych technologii. E-book to też książka. Audiobook wysłuchany podczas truchtu wokół Długiego, również... Już od kwietnia prowadzimy profil [Facebook.pl/OlsztynCzyta](https://www.facebook.com/OlsztynCzyta), gdzie zamieszczamy informacje o naszych poczynaniach, foto-relacje z imprez plenerowych, rozpisujemy przeróżne konkursy. Chcemy pobudzać wyobraźnię, wzmacniać kreatywność, działać i motywować do działania! Pokazywać, że książka może się kojarzyć z ruchem, z aktywnym spędzaniem czasu, z przestrzenią, która czeka na wypełnienie. Olsztyn to miasto idealne, by w nim czytać. Jeziora, parki, urokliwe ogródki kawiarniane, czas, który aż tak nie pędzi. To wszystko czeka na nas i nasze książki. Udało się już zrobić wokół naszej akcji trochę szumu, ale obiecujemy, że będziemy się bardzo starać, by było dużo głośniejsze! Olsztyn czyta! Chcemy to pokazać.



Olsztyński Literacki Miesięcznik Mówiony

Dygresja w związku z zagadnieniem, jak możliwa jest literatura mówiona

„Nie da się opisać tego, jak Flaubert czyta, wykrzykuje, śpiewa swoje dzieła: jego duże oczy w kolorze morskiej zieleni rzucają błyski spod czarnych brwi (...), a on czyta, głosem ryczącym i dźwięcznym, który kołysze nas (...) swoim spiżowym brzmieniem” (cytat za R. Lis, *Ręka Flauberta*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2011).

„Rycczenie” Flauberta, jak zwykł sam je określać, stanowiło wymagający egzamin. Tekst musiał zostać poddany próbie głosu. Jeżeli nie spełniał wymagań, „nie brzmiał”, musiał zostać poprawiony. Głos miał służyć tekstowi.

Idąc do KST na wybrzmienie pierwszego numeru Olsztyńskiego Literackiego Miesięcznika Mówionego (niezbyt fortunna to nazwa...), nie spodziewałem się spotkać Flauberta. Natomiast, zastanawiając się nad intencjami powstania Miesięcznika, wierny byłem jego metodzie.

Literat to nie zwierzę sceniczne. Jednostajny, wycofany głos, wzrok wbity w kartkę, niepotrzebne autokomentarze i nerwowość. Były wyjątki wprawnych opowiadaczy, nie przeczę. Ale nie mogą oceniać treści większości odczytów – były one najzwyczajniej „nieczytelne”. Zaproszono również doskonałych muzyków, którzy „kradli show” Słowu. Jaki cel miało to spotkanie?

Jak na „premierz” wyjątkowo dużo było „przedruków”, tekstów już wydanych. Pokusa spotkania autorskiego była zbyt wielka? Na scenie roilo się od autorów, a „za kulisami” od grzecznościowych uśmiechów i poklepywania po ramieniu. Niewątpliwie ciasno tam było żywej literaturze.

Czemu by nie pozostać przy idei „Rzeźni Literackiej”? Czasu wyzwania i próby, zmagania autora ze sobą i tekstem. Zmagania, które nieodmiennie przenoszą obnażone zdanie znów w ciszę i mrok przeciwstawiające się wymagającemu światłu czystej kartki papieru (bądź pustego ekranu). A Miesięcznik pozostawić do odczytu zawodowym aktorom?

Damian Wesolek

Projekt dwóch pań

I Olsztyński Literacki Miesięcznik Mówiony to projekt dwóch pań: Hanny Brakonieckiej i Justyny Artym. Pomysł wyrósł ze spotkań, podczas których autorzy czytali swoje utwory. Na pierwszym wieczorze czytały obie panie. Na kolejnych pojawiały się nowe osoby, przedsięwzięcie rozrastało się. Przyszedł czas na nazwanie tego już wyrosniętego wydarzenia. Ojcem chrzestnym cyklu został mąż Hanny – Kazimierz Brakoniecki. I tak we wrześniu 2013 r. miał premierę Olsztyński Literacki Miesięcznik Mówiony.

Do pierwszego mówionego miesięcznika zgłosiło się kilkunastu autorów. Jak każde porządne pismo OLMM ma swój cykl wydawniczy i na kilka dni przed odsłoną numer został zamknięty. Weryfikacja, cenzura, czy jak kto ją zwał, nastąpiła samoistnie: czterech autorów nie pojawiło się na łamach, czyli na spotkaniu. Dwunastka wypełniła miesięcznik, głównie prozatorsko. Wszystko przeplecione improwizacjami wokalnymi Zofii Bartoszewicz i muzycznymi Przemka Mrozowskiego. Jak w każdym porządnym periodyku pojawiły się ilustracje – na widowni siedziała Ewa Letki, olsztyńska artystka, która rysowała karykatury autorów.

Tematem wiodącym miesięcznika był SEN.

W spisie treści:

Była poezja w swej przemijalności chwili zapisująca wszystko jak metaforyczne sny-pejzaże, wspomnienia, zauroczenia Justyny Artym, Marka Barańskiego, Urszuli Kosińskiej i Arkadiusza Łakomiała.

Był wiersz Tomasza Venclovy w tłumaczeniu Aliny Kuczborskiej.

Były dwa wyraziste teksty dwóch młodych autorów, oba poświęcone trudom wchodzenia w „dorosłość”, wklejenia się w tryby reala. Jeden dość dosadny, autorstwa Michała Krawiela, porównujący zdobywanie pracy do zdobywania dziewczyny. W drugim, pióra Tobiasza Martynika, tematem była afirmacja snu, czynności, której poświęcamy 1/3 życia.

Był też piękny surrealistyczny dialog małżeński – gdzie ona opowiadała sny, a on przez to nie mógł się skupić na lekturze. Autorką tego fragmentu prozy była Tamara Boidak-Janowska.

Była przypowieść o Jonaszu Blondynie, którego przez konsekwencję myślenia opanował paniczny lęk – to utwór Antoniego Janowskiego.

Były też sny wymyślone i opowiedziane, heroiczne, królewskie Wojtka Hieronymusa Borkowskiego i Michała Biedziuka.

Była w końcu opowieść o przenikaniu się snów poprzez spanie głową w głowę – z dzieckiem, mężem, na czyjejś pościeli. Kotosny... – to Hanna Brakoniecka.

Premiera miesięcznika za nami, tematem kolejnych numerów: DZIECKO, JA, MIASTO ...

Iwona Bolińska-Walendzik





Anita Romulewicz

Deser po olsztyńsku

Ponieważ istnieje wielu amatorów dobrej książki, wśród których szczególnie dzieci są wybrednymi smakoszami, podaję przepis na jedną z nich, wykonaną z najlepszych lokalnych składników:

1. bohaterka – cegielka z okienka, mocno dojrzała, ale nie czerstwa;
2. sporo apetycznych ilustracji, wybarwionych w olsztyńskim słońcu;
3. kilka miejscowych, łatwo dostępnych faktów;
4. dwie garści lekkich rymów;
5. przyprawić humorem.

Wszystkie składniki połączyć delikatnie i z wyczuciem na dziecińcu olsztyńskiego zamku.

Najlepiej smakuje jeszcze świeża, ale doskonale sprawdzi się także jako prezent.

Autorami przepisu są Agata Grzegorzczak-Wosiek, olsztyńska pisarka, i Jarosław Korzeniewski, rysownik. To oni powołali do życia bohaterkę książki *Tajemnice zamku nad Łyną*, czyli uroczą Cegielkę o długich rzęsach, z wdziękiem podrygującą w skórzanych ciżemkach. Dzięki wyraźnym zabiegom personifikacyjnym zapada ona młodemu czytelnikowi w pamięć i zachęca do wspólnej wycieczki oraz poznawania dziejów lokalnego zabytku. Bohaterka nosi znamiona istoty żywej, która „Lat temu sześćset, czy więcej nawet w pewnej cegielni przyszła na świat”. To wtedy jej nos nabrał czerwonej barwy, a ona nawet spocila się i zgrzała. Z biegiem lat, choć twarda, stała się nieco skruszona i wyszczerbiona. Nadal jednak jawi się nam jako postać młodzieńcza i niezwykle sympatyczna. Z jednej strony jest damą, która chętnie stroi się w bogate suknie, mufki i perły, a w swojej delikatności drży na dźwięk szczęki zbroi rycerzy. Z drugiej zaś ciekawa świata odważnie spogląda z wysokiej wieży na miasto i nieźle radzi sobie z wiadłami na łące. Cegielka to postać na tyle wyrazista jako narratorka, że śmiało można powiedzieć, iż ma ugruntowaną pozycję w świecie olsztyńskich przewodników. Gdyby autorzy zapragnęli stworzyć kolejne opowieści o zacnych przybytkach naszego miasta, narratorka z równie dużym powodzeniem i wiarygodnie mogłaby zmierzyć się z kolejnym zadaniem. Bo, jak sama o sobie mówi:

„Luki w pamięci nie mam szczęśliwie,
Choć stara jestem prawie jak świat”.

Połowę sukcesu w żywej kreacji bohaterki tego wierszowanego opowiadania może przypisać sobie Jarosław Korzeniewski, który wykonał wszystkie rysunki. Jego dynamiczna, wyrazista kreska jest już rozpoznawalna, a sam autor wielokrotnie zadziwiał dzieciaki swoim talentem podczas warsztatów w bibliotece, gdy zdradzał im techniki tworzenia rysunków. Wszystkie ilustracje w *Tajemnicach zamku nad Łyną* są dobre jak okładka, która przyciąga uwagę ciepłym kolorem i blaskiem skrzęcej się złotem skrzyni pełnej skarbów.

Natomiast uroczą Cegła ma duże szanse, by zacząć żyć wła-

snym życiem, stać się symbolem regionalnym, przypominającym o charakterystycznej barwie naszych zabytków. Przez chwilę doświadczyła już bycia gwiazdą. O ciepłym odbiorze tej postaci najlepiej świadczy zdarzenie podczas promocji książki w Muzeum Warmii i Mazur. Występując jako symboliczny gadżet, została... skradziona. Ach ta sława!

Nie po raz pierwszy poważne traktowanie dziecka jako czytelnika umożliwiło autorom stworzenie książki dobrej i wartościowej. Agata Grzegorzczak-Wosiek, choć wydaje się, że pisze z wielką łatwością, jednak rzetelnie przygotowała się do napisania książki. Bo jak opowiedzieć kilkusetletnią historię zabytku, aby nie zanudzić młodego czytelnika? Jak poruszać się w tematyce architektury, nie omijając takich terminów jak blanki czy pilaster? Jak w kilku słowach przekazać, kim był książę poetów? Autorka postawiła na to, co najbardziej trafia do dzieci: obrazowanie i humor. Konsekwentnie zamyka w czterowierszach definicje słów takich jak zasadzka i kruzganek. Każde trudniejsze pojęcie wyjaśnia w przystępny sposób w rymowanym słowniczku dołączonym do opowieści. Pamięta przy tym, że mały czytelnik chce przede wszystkim wiedzieć, jak wygląda nowo poznawany, nawet najbardziej egzotyczny obiekt czy postać. Dlatego Ignacego Krasickiego przedstawia, podkreślając jego wizualne cechy:

„Książę w karocy w pięknym ubraniu
Ze złotym haftem w listki i kwiatki,
Fryzurę książę miał poskręcaną
W loczki po bokach, nad czołem gładki”.

Z kolei w definicji biskupa ujmuje atrybuty duchownego: uroczyste szaty i pomponik na czapce, słowem – ekscelencja z każdej strony. Nie zapomina przy tym o wadze persony w hierarchii Kościoła, a tym samym roli biskupów, jaką odgrywali oni na Warmii.

W *Tajemnicach zamku nad Łyną* zawarte są nie tylko najważniejsze historie z dziejów Olsztyna. Wiele tu nawiązań do specyfiki całego regionu. Czytelnicy dowiedzą się na przykład, co jest charakterystyczne w bryle zamków gotyckich i jak różne mogą być sklepienia. Książka ta to na lokalnym rynku wydawniczym prawdziwy kasek. Może właśnie dlatego, że napisana została w formie wierszowanego opowiadania, ma spore szanse zainteresować młodego czytelnika historią miasta i regionu. Daje dziecku możliwość włączenia się w odbiór kultury na tych samych zasadach, co dorosły. Może ono złapać bakcyła badacza, nauczyć się dostrzegać i doceniać rzeczy wyjątkowe. A przy okazji niejeden dorosły przypomni sobie kilka faktów lub też dowie się czegoś całkiem nowego. No, bo co to, u licha, takiego ta hurdyca?

Tajemnice zamku nad Łyną, Agata Grzegorzczak-Wosiek ; il. Jarosław Korzeniewski, Olsztyn : Pracownia Wydawnicza „ElSet”, 2013.

Przyszłość Olsztyna w ludzkim wymiarze



„Musimy wynaleźć i zbudować *ex novo* nasze nowoczesne miasto, podobne do olbrzymiej i zgiełkowej stoczni, aktywnie ruchliwe i zawsze dynamiczne, a nowoczesny budynek musi być jakby gigantyczna maszyna”. Wizja zawarta w manifestie futurysty Sant’Ellii nadal pozostaje w sferze fantazji. O ile wspomniane później *szybkie windy, ruchome schody, domy z cementu, szkła, żelaza* istnieją również w olsztyńskich standardach, to trudno nam sobie wyobrazić porównanie stolicy Warmii i Mazur do wertykalnych metropolii ukazanych w sci-fi, gdzie transport odbywa się w powietrzu, a wysokościowce wykraczają poza atmosferę.

Do czego dąży Olsztyn? Jak go sobie wyobrażamy za 20-30 lat? Szerokie arterie, które pomieszczą tyle aut, że korki będziemy znać tylko ze zdjęć i filmów poprzednich dekad, wieżowce konkurujące wysokością z masztem pieczęwskim, Jaroty sięgające do Butryn, dzielnica o nazwie Barczewo...

To niektóre, może nieco wyolbrzymione propozycje, zainspirowane aktualnymi trendami (artykuły prasowe, strategie decyden-tów).

Ja to miasto widzę zgoła inaczej. Mój Olsztyn przyszłości to miasto nieduże, wręcz prowincjonalne. Okryte wokół cennym warmińskim krajobrazem, skomponowanym z morenowych pagórków, czystych jezior, dziewiczych lasów i czerwonych dachów wsi, nie-skażonych dotąd azbestem, ani nowobogactwem. Żadna metropolia, bezkresne blokowisko opasane kominami fabryk i siecią autostrad. Z rogatek dostrzegam ratuszową wieżę oraz katedrę. Do centrum nie tak daleko, nie potrzeba nawet samochodu. Aleja Piłsudskiego

to już nie prospekt defilad pierwszomajowych ani samochodowych. Pasy drogowe zajmują tłumy rowerzystów, pieszych i sunące między nimi tramwaje. Zadrzewiona i gęściej zabudowana ulica ma teraz ludzką skalę i bez pokonywania setek metrów łatwo przejść na drugą stronę. Szybko mijam kolejne kwartały, bo w centrum jakby przybyło kameralnych uliczek. Pełen przechodniów deptak 11 Listopada i Dąbrowszczaków udekorowany jest ogródkami kawiarnianymi i sklepikami odwiedzanymi częściej niż przestarzałe molochy-centra handlowe. Zieleń jest wszędzie: ogrody na ulicach, przy domach, na domach, na ścianach, w miejscach dawnych banerów reklamowych i na dachach – Miasto Ogród! W takiej scenerii mieszkańcy Alei Wojska i Limanowskiego nie krępują się, jedzą rodzinny obiad, grają w szachy i oglądają telewizję na ulicy, bo jest tu przyjemniej niż w domu. Olsztynianie z sypialni wyemigrowali do centrum, do nowej dzielnicy w Zakolu Łyny, natomiast dawne Koszary Dragonów znowu tętnią życiem jako dzielnica artystów – olsztyński Montmartre!

Miasto tętniące życiem i zielenią. Pieszko, samochodem, tramwajem, rowerem – każdy porusza się, jak chce, bo ma do tego dobre warunki. Blisko do pracy, znajomych, kultury i dzikiej natury. Niemal jak w dawnym małym, a jednak o charakterze wielkomiejskim, Allenstein.

Miasto się skurczyło, a jednak dla człowieka w sam raz. Nie ma korków, bo nie są już potrzebne. Rozwija się, ale jakby w inną stronę...

Autor jest studentem Architektury i Urbanistyki Politechniki Poznańskiej oraz członkiem Forum Rozwoju Olsztyna

CZY KAŻDE MIASTO MA SWOJĄ WIZYTÓWKĘ?

Na pytanie tytułowe automatycznie ciśnie się odpowiedź, że tak – a przynajmniej, że powinno mieć. Czy tak jest na pewno, a jeśli, to czy wizytówką jest świadome działanie promocyjne, wykorzystanie postaci czy zdarzeń z przeszłości danego miasta, czy też może wizytówka przypisana jest przez osoby zewnętrzne, często pejoratywna, żeby nie rzec wręcz prześmiewcza? No i czym właściwie jest wizytówka, jak rozumiemy to wyrażenie?

Truizmem byłoby przypomnienie o złożonej historii naszego regionu, przerwaniu tradycji kulturowych, wymianie ludności i niewłaściwej polityce po 1945 r., która doprowadziła do modnego stwierdzenia – brak tożsamości. Nasze ziemie mają trzy drogi wyboru: po pierwsze nawiązywać wyłącznie do przeszłości, niezależnie, jaka ona była, po drugie odrzucić przeszłość i tworzyć nowe tradycje, po trzecie umiejętnie połączyć obie sfery, wybierając to, co najlepsze. Wariant pierwszy jest samobójczy, gdyż w większości oderwany od polskości, a proniemieckie nastawienie nie zawsze jest mile widziane. Poza tym rany historyczne zblizniają się przez lata i nigdy żaden naród nie był kryształowo uczciwy wobec drugiego. My, Polacy, też mamy swoje grzechy i czarne karty w historii. Wariant drugi nie niesie właściwie zagrożeń, niemniej jest ubogi historycznie, odcinamy 700 lat dziedzictwa tych ziem. Co prawda mamy tradycyjne polskie zwyczaje, ale brakuje regionalizmu, którego – nie waham się stwierdzić – odradzanie się właśnie obserwujemy. Wariant trzeci wydaje się najatrakcyjniejszy, oto odrzucamy to, co złe, wyciągamy momenty chwały i na tym budujemy swoją wizytówkę. Historycy może coś tam zarzucą, że nie jest to do końca obiektywny przekaz historii, malkontenci stwierdzą, że ten wycinek nie jest reprezentatywny, a większość i tak się ucieszy, bo miło jest się chwalić osiągnięciami i dobrymi wspomnieniami.

Cóż zatem można uznać za wizytówkę Olsztyna? Jeżeli na tak zadane pytanie mieszkańiec miasta zamiast dać jednoznaczną odpowiedź zaczyna się zastanawiać, to chyba nie do końca udało się taką wizytówkę wypracować. Z postaci historycznych od razu przychodzi na myśl Mikołaj Kopernik. Wybitny astronom zamieszkiwał na olsztyńskim zamku, pracował na rzecz kapituły jako administrator dóbr kapitulnych. To na olsztyńskim zamku znajduje się jedyny na całym świecie zachowany instrument obserwacyjny Mikołaja Kopernika – tablica astronomiczna, dzięki której wyliczył moment równonocy wiosennej. Ten wybitny zabytek schowany pod sufitem, gdzieś na końcu krążanka ciągle jeszcze dla samych mieszkańców Olsztyna pozostaje nieznaną, a dla ilu, którzy o nim wiedzą, jest zegarem słonecznym Kopernika? Reforma walutowa opracowana przez astronoma na olsztyńskim zamku posłużyła królowi Zygmuntovi Staremu do wprowadzenia nowoczesnego systemu monetarnego w XVI-wiecznym Królestwie Polskim – wówczas pojawia się złoty dukat jako moneta obrachunkowa. Płacąc złotówkami,

codziennie poniekąd wspominamy Mikołaja Kopernika, choć ktoś o tym na co dzień pamięta? Wreszcie skuteczna obrona Olsztyna przed Krzyżakami, tak chętnie podnoszona jako przejaw patriotyzmu kanonika warmińskiego. Ledwie cztery lata w Olsztynie, a tyle ogromnie ważnych odkryć... – niewątpliwie wizytówka miasta. Jednak tą wizytówką dzielimy się z Toruniem i Fromborkiem, początkiem i końcem ziemskiej wędrówki Kopernika matematyka – jak sam siebie określał. Miło i edukacyjnie byłoby wywozić z Olsztyna jako pamiątkę prostą, zwyczajną linijkę, na odwrocie której widniałaby tablica astronomiczna z olsztyńskiego zamku. Może kiedyś...

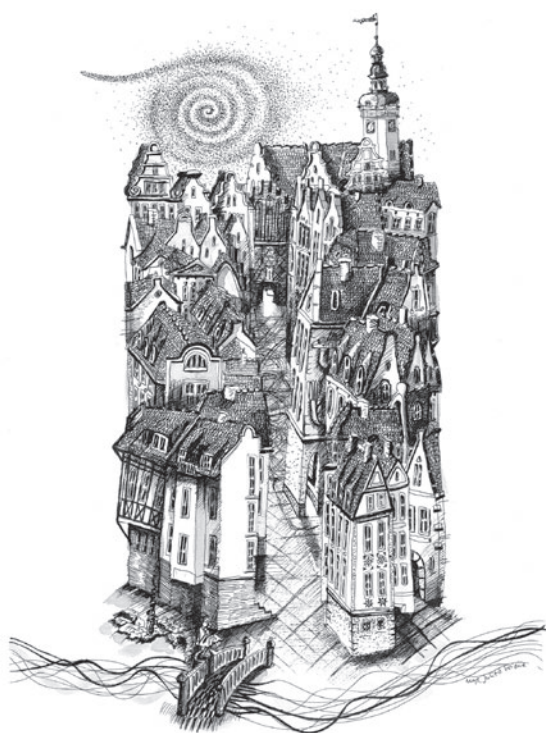
Kopernik w ostatnim czasie uzyskał groźnego konkurenta do miana wizytówki miasta w postaci Baby Pruskiej. Rzecz nienowa, mieszkańiec dziedzina olsztyńskiego zamku od wielu lat, jednak dzięki pomysłowi i dobrej reklamie o olsztyńskiej babie zrobiło się głośno. Nietrudno jest dziś zakupić pamiątkową drewnianą miniaturkę, dobrze też przyjęła się nieszlachetna biżuteria w formie kolczyków czy wisiorków. Czy tajemnicza antropomorficzna rzeźba pogańskich Prusów na stałe wpisze się w kanon pamiątki z Olsztyna, czas pokaże. A może przemienie wraz z modą, wszak jeszcze przed pięciu laty o zamkowej pruskiej babie nie myśłano w dzisiejszych kanonach.

A co ze skarbami przyrodniczymi? Niewątpliwym walorem są jeziora. Rekordowa ilość jedenastu jezior w granicach admini-



stracyjnych miasta stawia Olsztyn na samym szczycie wyjątkowości, nawet w Krainie Tysiąca Jezior. Mamy tak dużo jezior, a mimo to wciąż są zakusy do sztucznego powiększania ich ilości, pompowania w górę i tak niedoścignionego wyniku. Trzynaście, piętnaście, a może jeszcze więcej się urodzi, wszystko jedno, ważne, aby turysta przyjeżdżający do Olsztyna pojawiał się właśnie dla tych jezior. Tymczasem odwiedzający najczęściej nie potrafi wymienić nazwy choćby jednego jeziora, a ulegając stosowanej promocji Olsztyna jako miasta przejazdowego na 2-3 godziny, poznaje jeziora, ale nie olsztyńskie, tylko te oddalone od Stolicy Warmii, nad którymi nocuje na Warmii czy na Mazurach. Jak na razie można więc wykluczyć olsztyńskie jeziora jako wizytówkę. Miejmy nadzieję, że rewitalizacja brzegów Jeziora Ukiel zmieni aktualny stan rzeczy.

Olsztyn to także miasto na skraju puszczy, dookoła miasta rozciągają się lasy, ale trochę brakuje w nim dobrze zlokalizowanych pomników przyrody (kultową zamkową lipę w 2006 r. złamała wichura). Tu niestety nie da się nic zrobić, nie da się przesadzić przepięknego sześciopiennego buka z parku w Pozortach choćby na Pl. Jana Pawła II, ale możemy słynąć z parków i z ich zagospodarowania. Na naszych oczach Park Centralny przestaje być tylko trzynastoma literkami napisanymi na kartce, Park Podzamcze przypomina plac budowy, a w kolejce do remontu nareszcie pojawił się Park Jakubowo. Jeszcze tylko promenada nad Łyną i przestaniemy



zachwycać się stuletnimi pocztówkami – identyczne landszafkiki będziemy mieli na żywo. Ale zanim staniemy się (jak głosi hasło) „Ogrodem z Natury” minie trochę czasu. Na tę wizytówkę sobie dopiero zapracujemy.

Św. Jakub rozgościł się w herbie Olsztyna już przy lokacji miasta. Mamy szczęście do wyrazistego herbu, a zarazem bardzo prostego i łatwego w operowaniu. Renesans zainteresowania Szlakiem Św. Jakuba może wyjść Olsztynowi wyłącznie na dobre. Leżąc na drodze Camino Polaco, Olsztyn ma zapewniony strumień turystów religijnych. Św. Jakub świetnie nadaje się na wizytówkę miasta jako jedyna poza Kopernikiem postać rozpoznawalna powszechnie w Europie. Może tędy wiedzie droga do wizytówki miasta? W końcu mieszkamy na Świętej Warmii, jesteśmy jej stolicą.

Pracy nad wizytówką miasta nie należy zaniedbywać, bo zawsze jest ryzyko, że wizytówkę ktoś inny nam nada i tak jak z przezwiskami, niekoniecznie będzie się to podobać wszystkim stronom. Przeżywalismy pozasłużbowe przygody Prezydenta Miasta, oburzały nas „świecące pały”, psioczyliśmy na żółte barierki, czy opluwaliśmy projekty tramwajowe. Piszę „my”. Tak, to my wszyscy jesteśmy mieszkańcami Olsztyna i wszyscy mamy prawo do wizytówki. Baczmy, aby przez negatywne rzeczy nie postrzegano nas w kraju i w świecie. Krytykujmy, kiedy trzeba, ale nie prowadźmy wojen, a sami przykładajmy się do wizerunku miasta. Sto lat temu do Olsztyna przybył Mieczysław Orłowicz i opisał go w *Ilustrowanym przewodniku po Mazurach Pruskich i Warmii*. Po wymienieniu i opisaniu walorów turystycznych i zabytków zwrócił uwagę na wygląd miasta, który stał się dla niego wizytówką Olsztyna. Pisał, że Olsztyn „pod względem wyglądu robi europejskie wrażenie (...)”, a wszędzie panuje ogromna czystość”. Do tego każdy z nas może przyłożyć własną rękę.

Szukając pozytywnej wizytówki dla Olsztyna, wypadałoby znaleźć coś, co łączy ze sobą zarówno walory turystyczne, tradycję regionu jak i dobry styl życia, i miałoby do tego chwytliwe oraz atrakcyjne hasło. Nie trzeba daleko szukać, jest już taki projekt kojarzony z Olsztynem, który ma setki, jeśli już nie tysiące, odbiorców, trwa 30 tygodni i posiada niezwykle chwytliwe miano (kto wie czy nie lepsze od „Ogrodu z Natury”). Został wymyślony przez olsztynian i dla Olsztyna, wielu z nas wyciągnął z domów i zagospodarował nam czas. „Olsztyn Aktywnie” to połączenie rekreacji, turystyki, edukacji, krajoznawstwa, relaksu, wysiłku i sportu. Dwadzieścia osiem różnorodnych dyscyplin zebranych pod jednym szyldem jest w skali kraju czymś unikalnym i wyjątkowym. Bezcenną zaletą „Olsztyna Aktywnie” jest jego rodzimość i autorskość, gdyż nie jest kalką amerykańskich zawodów czy zachodnioeuropejskich imprez. „Olsztyn Aktywnie” wizytówką grodu nad Łyną? Tak, już nią jest!

Miasto partycypacyjne

Rozmowa z Wojciechem Konecko, Przewodniczącym Rady Osiedla nad Jeziorem Długim

Iwona Bolińska-Walendzik: Kto jest gospodarzem miasta?

Wojciech Konecko: Teoretycznie Rada Miasta, praktycznie Prezydent. Obywatele poruszają się raczej w obszarze, który wyznaczają im władze. Generalnie. Oczywiście są przypadki wystąpień oddolnych typu obrona obwodnicy. Inne potrzeby sygnalizuje się, proponuje. Często jest tak, że jeżeli kogoś coś osobiście nie dotknie, to nawet nie wie, kto jest Przewodniczącym Rady Miasta. Zazwyczaj jest tak, że ludzie reagują dopiero, gdy im się temat pali, a wówczas często bywa już za późno na zmiany.

I. B.-W.: Na ile na decyzje miejskie związane z danym osiedlem ma wpływ Rada Osiedla, a szerzej Obywatele?

W. K.: Trzeba powiedzieć, że wpływ mamy niewielki. Raz – że wyznaczają to środki, którymi dysponujemy, po drugie potrzeby osiedla. Bo jeżeli tak jak w naszym wypadku była budowana ścieżka wokół Jeziora Długiego, a teraz jest prowadzony remont ul. Bałtyckiej – to mobilizuje ludzi. A jeżeli nie ma takich spektakularnych przedsięwzięć czy inwestycji, to wtedy nasza działalność skupia się na dbaniu o doraźne potrzeby mieszkańców i organizację jakichś imprez integrujących mieszkańców. Przykładowo: u nas organizuje się Dzień Dziecka czy bal niepodległościowy oraz paczki świąteczne dla dzieci. To są mało widoczne działania, mało efektowne. No chyba, że bronimy drzew – jak dwa lata temu – ale to też wynikało z podjętych inwestycji: budowy ścieżki pieszo-rowerowej, a także przebudowy ul. Bałtyckiej.

I. B.-W.: Czy uważa Pan, że inwestycje przeprowadzane w mieście powinny być konsultowane z obywatelami, ludźmi mieszkającymi w danym miejscu?

W. K.: Moim zdaniem konsultacje, takie jak organizowane obecnie, gdzie podawane są projekty i się je omawia, organizowane są trochę za późno. Nie projekt a pomysł powinien być konsultowany. Bo często projekt jest już gotowy – kosztował niemało – już poczyniono pewne prace, zwykle są już nieodwracalne. Takie konsultacje są półśrodkiem. Ale jeżeli konsultuje się pomysł, sam zamysł, to wtedy jest szansa na dotarcie się stron już na początku drogi – pomysłu miasta z pomysłami mieszkańców. Konsultacje powinny być też szersze, może międzydzielnicowe. Ja wiem, że to zajmuje czas i trzeba mieć chęć do działania, ale jest to do zrobienia. W wypadku budowy ścieżki nad Jeziorem Długim dowiedzieliśmy się o jej budowie, bo mieli wyciąć drzewa. Bardzo późno, ale udało się zareagować.

I. B.-W.: Jak działać, żeby być skutecznym w momencie, gdy już padły decyzje i już inwestycje ruszyły pełną parą? Jak społeczeństwo może zareagować w takim przypadku?

W. K.: Z naszego podwórka, to znaczy Rady Osiedla nad Jeziorem Długim, mogę stwierdzić, że szansa jest zawsze. Przede wszystkim trzeba znaleźć stosowne przepisy i dokładnie się z nimi zapoznać. Załóżmy przepisy dotyczące inwestycji. Nam mówiono, że ścieżka

rowerowa musi mieć konkretną szerokość 8 metrów, że podyktowane jest to dyrektywami unijnymi. Jak się przyjrzelśmy dokładnie, to i cztery metry wystarczą. Ale nam przedstawiono wariant szeroki i cały czas podpierano się Unią. To jest trochę taki straszak, zasłona dymna – Unia nakazuje albo karze. To nie zawsze jest prawda. I przy naszej ścieżce stanęło na 4 metrach szerokości. Brzegi jeziora nie zostały zabetonowane, nie trzeba było łąć betonu do wody, stawiać nabrzeża itd. Było też kilka innych przypadków i rozwiązań, ale to już są szczegóły. Nikt nie zna wszystkich przepisów, ale mamy mieszkańców, którzy zajmują się a to polityką społeczną, a to gospodarczą, ekonomią... Korzystaliśmy z potencjału społeczności lokalnej. Każda dzielnica ma takich ludzi, tylko trzeba albo ich uaktywnić, albo sami potrafią się zgłosić, jeśli mają chęci. I wykorzystanie tego potencjału zawsze dobrze skutkuje. Ponieważ projekty często przygotowywane są zza biurka albo wybierana jest firma, która jest najtańsza, rzadko wtedy najlepsza, bo w tym przypadku najczęstszym i jedynym kryterium przetargu jest cena. Wówczas projekt różnie wychodzi, tak jak było przy budowie mostu-„kładki” przez jezioro. Wykonawca nie wywiązał się z obowiązków i grobla techniczna, która służyła w trakcie budowy, do dziś nie została całkowicie usunięta. Ale jeszcze mamy trzy lata gwarancji i, trzymając rękę na pulsie, może uda się ją usunąć, oczywiście współpracując z inwestorem.

Rada powinna być uparta, konsekwentna. Rada to jest takie trochę bezosobowe słowo. Zawsze jest kilku liderów albo osób mocno zaangażowanych. Nie zawsze jest to przewodniczący. Nie można też się bać urzędników – to też bywa hamulcem takiego społecznego działania. Czasami ważna jest liczba osób, które włączają się w działanie, np. zbieranie podpisów, ale to jest już techniczna organizacja pracy. Każda sprawa wymaga przede wszystkim oddanego i konsekwentnego działania.

I. B.-W.: W Olsztynie jest ponad dwadzieścia Rad Osiedlowych. Jak konkretnie mają zadania? Czy wyznacznikiem ich działania jest wsłuchiwanie się w to, co mówi społeczeństwo, czy Rada jest pośrednikiem między społeczeństwem lokalnym a władzą?

W. K.: Rada Osiedla jest dobrym sposobem komunikacji z władzami miasta. Są comiesięczne spotkania przewodniczących Rad Osiedli, na których proponujemy między innymi temat najbliższego spotkania. Ostatnio poruszane były tematy dotyczące np. komunikacji miejskiej. Wówczas Ratusz przygotowuje krótki referat, a Prezydent zwykle go wygłasza. Obecni są szefowie odpowiednich wydziałów, których temat dotyczy. I wtedy jest miejsce do zgłaszania naszych bolączek czy rzeczy, które chcielibyśmy zmienić. W ten sposób została uruchomiona linia autobusowa przebiegająca przez osiedle Podgródzie. Takie spotkania przewodniczących Rad Osiedlowych z władzami miasta to dobre forum, ponieważ wszyscy się wypo-

wiadają, przedstawiając swój – mieszkańców – punkt widzenia. Na spotkaniach tych są obecni urzędnicy zainteresowani konkretnymi tematami. Jest to kilkusobowa reprezentacja, która odpowiada na pytania, notuje potrzeby i pomysły – więc czasami coś z tego wynika. Nie zawsze, ale bywa, że jest tak jak w przypadku wspomnianej linii autobusowej.

I. B.-W.: Czy może Pan powiedzieć szerzej o działaniach integrujących społeczność lokalną inicjowanych przez Rady Osiedla?

K. W.: Osiedle nad Jeziorem Długim jest małym osiedlem liczącym ok. 4 tysiące mieszkańców. Nasze działania integracyjne to zabawa dla dzieci z okazji Dnia Dziecka czy od wielu lat organizowany Bal Niepodległościowy. Odbywa się on zwykle w okolicach 11 listopada i jednym z punktów programu jest śpiewanie pieśni patriotycznych. Co roku w balu bierze udział coraz więcej mieszkańców. Niektóre dzielnice robią Dni Dzielnicy i to są działania z tradycją, przykładem jest Rada Osiedla Jaroty organizująca Święto ul. Biskupa Tomasza Wilczyńskiego, czy Zatorze w Parku Jakubowym. My też mamy plan zrobienia jeszcze jednej imprezy. Są chętni, ale raczej nie będzie to święto ul. Bałtyckiej, bo musiałyby robić to trzy osiedla: Gutkowo, Likusy i nasze. Ale to nie znaczy, że z nimi nie współpracujemy. Kontaktujemy się z Radą Osiedla Likusy, bo przecież sąsiadujemy i często mamy wspólne problemy.

Nasz Bal Niepodległościowy – który właśnie przed nami – też jest taką imprezą integracyjną. Jest przygotowany lokal, menu, są ogłoszenia rozwieszone w stałych punktach i w Internecie. Oczywiście zaproszeni są wszyscy chętni.

I. B.-W.: Czy może Pan wypowiedzieć się na temat Olsztyńskiego Budżetu Obywatelskiego. Czy to jest dobry pomysł?

K. W.: To są początki Budżetu Obywatelskiego, nie potrafię więc tego jeszcze ocenić, bo na razie były zgłaszane projekty. Zostały one wybrane głosowaniami. Pozostaje teraz kwestia sposobu realizacji, terminów itd. Jest to oczywiście jakiś sposób na zintegrowanie mieszkańców. Wówczas to, co mieszkańcy osiedla wybiorą, ma szansę realizacji. W naszym przypadku będzie to plac rekreacyjny z przyrządami do ćwiczeń. Takie przyrządy są już na wielu osiedlach. Pomysł spodobał się, zdobył najwięcej głosów. Przechodzi więc do fazy realizacji.

I. B.-W.: Z tego widać, że Osiedle nad Jeziorem Długim jest popularnym miejscem wypoczynku.

K. W.: Tak, zwłaszcza latem bez względu na pogodę gęsto jest od biegających, spacerujących, jeżdżących po ścieżce wokół Jeziora Długiego. Są też organizowane najprzeróżniejsze zawody, np. wędkarskie czy wyścigi smoczycy łodzi, ale to już na samym jeziorze. Ścieżka zdała egzamin nad wyraz dobrze, cały czas zwiększa się jej popularność.

I. B.-W.: Czy może Pan opowiedzieć o swojej inicjatywie społecznej na rzecz miasta, która jest Panu szczególnie bliska?

K. W.: Mogę powiedzieć o moim pomysle już puszczonej w ruch na rzecz chyba całego miasta – mianowicie o regulacji i przywróceniu stosunków wodnych między jeziorami: Krzywym, Długim, Kortowskim i Czarnym. To był kiedyś system, który działał jako całość, były przepusty, były rzeczki, kanały. Można było wodę regulować. To zostało zaniedbane, częściowo zlikwidowane. Ale przy pomocy Wydziału Ochrony Środowiska i innych instytucji, jak UWM, udało mi się puścić w ruch inicjatywę i mam nadzieję sprawić, że przywrócona zostanie regulacja, którą się będzie zajmował jeden podmiot. Będzie nią rządził i o nią dbał. Rada Osiedla dostała już pismo, że w przyszłym roku będzie robiony projekt systemu regulacji w tym obszarze. Dla Jeziora Długiego taka regulacja to kwestia życia i śmierci. Ma ono bardzo chwiejną równowagę biologiczną i wszelkie gwałtowne zmiany mogą spowodować, że będzie to bajoro. Krzywe, które jest największym akwenem w tym przypadku, jest najbardziej zabudowane, użytkownicy pomostów, przystani też chcą mieć pewność, że woda ich nie zaleje. To wszystko musi być pod kontrolą, tak żeby nie robiło krzywdy i było z korzyścią nie tylko dla ludzi, ale dla wody, dla środowiska wodnego, które nas otacza i z którego korzystamy. Jeziora są połączone i żyją w symbiozie, nic nie żyje w odosobnieniu. Oczywiście to działanie to nie było jedno pismo, to było wiele rozmów z różnymi ekspertami. I jeszcze nie koniec mojej pracy przy tym projekcie.

I. B.-W.: Czy brakuje nam aktywnego społeczeństwa, które w większym stopniu decyduje, co się dzieje wokół nas?

K. W.: To zależy od wielu czynników. Ludzie, którzy byli aktywni zawodowo w ustroju poprzednim, mają pewien zakodowany sposób reakcji na odgórne inicjatywy – zwykle negatywny. Młodszy ludzie natomiast zajęci są zarabianiem pieniędzy, rodziną, odpoczynkiem. Sprawy miejskie, czyli te, które nie dotyczą ich bezpośrednio, schodzą na dalszy plan. Jest grupa aktywnych ludzi, działających w kilku stowarzyszeniach.

I. B.-W.: I ostatnie pytanie: czy warto działać?

K. W.: Czasami to boli, ale warto. Warto też doceniać pracę innych ludzi: urzędników i projektantów. W każdej sytuacji, nie trzeba wiele, wystarczy zwykłe dziękuję za udane zamknięcie wspólnego działania. Nawet jeżeli w trakcie realizacji były tarca, czy to z projektantami, czy z innymi osobami. Ale przecież jeżeli się powiodło, to warto doceniać wkład pracy innych. Na przykład: przy realizacji ścieżki nad Długim często odbywały się spotkania terenowe. Projektanci czy urzędnicy nie musieli na nie przychodzić, mogli sprawę załatwiać zza biurka. Ale wspólnie chodziliśmy, mierzylśmy, dotykaliśmy, braliśmy do ręki ziemię czy kostki brukowe i wyszło nam. Każdy lubi być doceniony, jeśli robi swoją pracę dobrze. Każdej ze stron należy się podziękowanie, jeżeli uda się spotkać gdzieś w połowie drogi.

I. B.-W.: Dziękuję bardzo za rozmowę.



Krzysztof D. Szatravski

Wydawnictwo

Od Śpiewo-Kręgów do *Talizmanów*

Rebelia ludzi muzycznych

Kultura muzyczna w swoich najbardziej pierwotnych stadiach opierała się na powtórzeniach i naśladownictwie. Z powtórzeniami wiązały się zmiany, te wyraźne i zamierzone, oraz te mimowolne. W ten sposób z naśladownictwa rodziła się improwizacja będąca najważniejszą formą twórczości. Przez tysiąclecia właśnie naśladownictwo i zmiany, powtórzenia i improwizacja były fundamentem wspólnego muzykowania. Później, wraz z podziałem pracy, podziałem ról społecznych i jego hierarchizacją, także uprawianie muzyki komplikowało się coraz bardziej, aż zaprowadziło w ślepią uliczkę, gdzie oryginalność zajęła miejsce piękna, a nowatorstwo odebrało koronę talentowi.

W minionych dekadach do improwizacji powracali artyści wszelkich rodzajów muzyki – od zdecydowanie ludycznych, po najbardziej poważne, ocierające się o głębokie filozofie i wskazujące na transcendencję jako ostateczny wymiar muzyki. Znakomicie pomogły w tym odwołania do *world music*, co poniekąd zrozumiałe, gdyż jak świat długi i szeroki w muzyce o ludowych korzeniach ów improwizacyjny element nawet na moment nie stracił swej pozycji. Wielką rolę odegrał jazz, ale także powojenna awangarda. Mimo to większość wciąż jest przyzwyczajona do wizji muzyki jako logicznej układanki dźwięków, melodii, harmonii i rytmu. Dzieje się tak może dlatego, że zmiany mentalności następują najwolniej, a może wciąż bardziej potrzebujemy schematów niż wolności wyboru.

Na szczęście coraz częściej potrafimy spojrzeć na muzykę bez uprzedzeń. Coraz mniejsza grupa traktuje kulturę muzyczną jako zamknięty kod, do którego dostępu strzegą dyplomy i coraz bardziej hermetyczne techniki, a coraz większa – w sposób naturalny i pozbawiony kompleksów, jako na komunikat o największym margine-

nie swobody interpretacyjnej. Tak właśnie odbierają muzykę dzieci, nie jako konwencję, ale jako integralny komunikat. Podobne podejście można było zauważyć u chórzystów Chóru Młodzieżowego „Collegium Juvenum” oraz Zespołu Wokalnego „ProForma”, a także niezrzeszonych uczestników Warsztatów Muzycznych „CircleSong 2013”, które z udziałem dyrygenta i kompozytora Rogera Treece’a odbyły się w trzecim tygodniu września na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. Termin CircleSong przekładany jest na język polski jako Śpiewo-Kręgi, co oddaje istotę zjawiska, krążenia i powtórzeń motywów budujących tkanę utworów.

Nie przypadkiem warsztaty odbyły się właśnie w Olsztynie. Z metodą tą olsztyńscy śpiewacy zespołu ProForma mieli już okazję się zetknąć, a dyrygenci Małgorzata Wawruk, Marcin Wawruk i Joanna Muśko stosują elementy tej metody w swojej pracy. Związki te zaowocowały również wcześniej wieloma twórczymi projektami i udziałem w koncertach, jakie Bobby McFerrin dał w Polsce. Wówczas też olsztyńscy śpiewacy poznali Rogera Treece’a, którego postanowili zaprosić na warsztaty do Olsztyna. Amerykański kompozytor Roger Treece jest jedną z postaci, które związały swoje profesjonalne kariery z nurtem muzykowania w śpiewo-kręgach, nauczania improwizacji zespołowej i tworzenia kompozycji, które pozwalają się wykonywać w takiej formie. On również współpracował z Bobbym McFerrinem, przygotowując jego polskie koncerty i współpracując z ProFormą.

Warsztaty improwizacji oraz koncert w sali olsztyńskiej filharmonii były konsekwencją i ukoronowaniem tych działań. Tym razem z chóralną realizacją idei śpiewo-kręgów zmierzyła się duża grupa młodych chórzystów. I jak się miało okazać podczas prezentacji efektów 22 września w filharmonii, było to spotkanie niezwykle

Śpiewo-Kręgi. Fot. Arkadiusz Korczin



Talizmany. Fot. Arkadiusz Korczin





owocne. Podczas niedzielnego koncertu dużym zespołem, w którym uczestniczyły połączone siły chórów, a nawet publiczność, dyrygował Roger Treece. Również jego dziełem były kompozycje wykonywane tego dnia. Wymienionych chórmistrzów można było usłyszeć także w roli solistów. Zwłaszcza Małgorzata Wawruk zachwyciła miękką i bogatą barwą sopranu, chociaż solowych prezentacji i atrakcji było więcej, łącznie z parą tańczącą tango.

Słuchacze, którzy tego dnia wypełnili filharmoniczną salę, wychodzili przekonani, że aby cieszyć się wspólnym śpiewem, wcale nie trzeba znać nut. Co więcej, nie jest też prawdą, że pozbawiony teoretycznego przygotowania śpiew musi być niedoskonały. W końcu istotą śpiewu nie jest precyzyjne odwzorowywanie zapisanych w nutach sekwencji dźwięków, ale właśnie śpiewność. I choć to kategoria dość złożona, jest też powszechnie zrozumiała, bowiem punktem wyjścia wszelkiego śpiewu powinno być doskonałe barwy ludzkiego głosu, poszukiwanie naturalnego piękna i wykorzystywanie wrodzonych predyspozycji ekspresyjnych.

Konstruowanie muzyki w oparciu o powtarzające się motywy jest prawdopodobnie najstarszą ideą kompozytorską. I choć przybiera różne formy, podejście to obecne jest we wszystkich kulturach tradycyjnych, a także w różnych momentach oficjalnej linii rozwojowej muzyki artystycznej oraz w muzyce popularnej. W ostatnich dziesięcioleciach pojawiło się równocześnie w *minimal music* i w kulturze techno, w realizacjach elektronicznych i w utworach na tradycyjne instrumenty. Elementy muzycznego minimalizmu pojawiły się także w muzyce prezentowanej na scenie filharmonii w następnym tygodniu, w niedzielę 29 września.

Nie wiem, czy to przypadek czy efekt nadzwyczajnej aktywności artystycznej, ale także tu w gronie solistów znaleźli się Małgo-

rzata i Marcin Wawrukowie, dodajmy – w prezentacjach o charakterze wyraźnie odmiennym od tego, co pokazywali z chórem. Wraz z nimi w pierwszoplanowych rolach wystąpili wokalistka Basia Raduszkiewicz oraz instrumentalista i kompozytor Jarek Kordaczuk. Poza tym na scenie byli właściwie wyłącznie soliści, gdyż cały cykl *Talizmany* skomponowany został na jedenastoosobowy zespół instrumentalistów i trójkę wokalistów. W strukturze cyklu dominują głosy żeńskie, co w pewnym stopniu jest naturalne, bowiem cały cykl powstał do tekstów poetek Urszuli Koziół, Ewy Lipskiej, Janiny Brzostowskiej, Adriany Szymańskiej i Wisławy Szymborskiej. Poetki były reprezentowane w filharmonii wyłącznie przez teksty, ale już kompozytor Janusz Lipiński i autor opracowania Jarek Kordaczuk wzięli czynny udział w produkcji muzycznej.

Sama muzyczno-poetycka warstwa wymagałaby krótkiego przedstawienia, jednak o płytowej wersji *Talizmanów* ukazał się już artykuł w poprzednim numerze „VariArt-u”. Wykonanie na filharmonicznej scenie pozwoliło jednak spojrzeć na cykl z zupełnie innego punktu widzenia. Żywa muzyka to jednak zupełnie inna jakość. Przede wszystkim płyta, podobnie jak papier, przyjmuje i znosi więcej i łatwiej. A chcąc to przekazać publiczności, potrzeba jednak więcej odwagi, co z kolei rodzi napięcie, które wypełnia muzykę zupełnie inną energią. I to właśnie ta energia, bardziej performatywna niż konstrukcyjna, zadecydowała o sensie muzycznej narracji. W prezentacji estradowej *Talizmany* ujawniają liczne pokrewieństwa z muzycznym teatrem i nurtami progresywnymi, stając się miłą odescieczą od muzycznej galanterii i rozhasanego prostactwa, jakie w ostatnich latach wyznaczają główny nurt naszego życia muzycznego.





Elżbieta Frąckowiak

Moje miasta

Mieszkając w Olsztynie, nigdy nie odczuwałam kompleksu „małego miasta”. Dumnie kroczyłam jego ulicami, bez poczucia wstydu czy zacofania względem innych miast. Olsztyn mnie wychował i przez lata wierzyłam, że jak wszystkie koty w nocy są czarne to i wszystkie inne polskie miasta (miejscowości?) są takie same. Mają tylko większą powierzchnię, więcej centrów handlowych, więcej teatrów. I tramwaje. Albo metro. Nie to, żebym nie była na szeroko pojętych wyjazdach. Były one jednak na tyle krótkie i mało treściwe, że nie zdołałam odczuć wielkiej różnicy.

Jednak kąt widzenia zależy od kąta siedzenia, a nawet od zasiedzenia. W tym momencie w Warszawie mieszkam już troszkę ponad rok. Wcześniej przez pół roku, w prawie każdy weekend, oswajałam się ze stolicą. Nigdy nie spodziewałam się, że mogę odczuć aż tak wielki szok kulturowy. Żebym chociaż przeprowadziła się do Nowego Jorku albo innego Londynu. A tutaj proszę bardzo – taki szok w oddalonym o zaledwie kilkaset kilometrów mieście stołecznym naszego kraju.

Warszawa okazała się być miejscem kontrastów, które wyznacza kilka dzielnic. Wystarczy wycieczka tramwajem nr 8, żeby odwiedzić dwie zupełnie inne krainy. W jednej zobaczymy pięknych, młodych i bogatych, gdzie standardy wyznaczają ZARA, Starbucks i Apple. W drugiej królują lumpeksy, podróbki Louis Vuitton i budownictwo z czasów PRL-u. Czas płynie w każdej zupełnie inaczej – od pośpiechu tłumów w centrach handlowych do spacerowania po swojskich ryneczkach.

Człowiekowi zmienia się poczucie czasu. Gdyby w Olsztynie powiedzieć komuś, że mieszka blisko centrum, pomyśli, że to jakieś 5-10 minut autobusem. W stolicy ten przedział czasowy zmienia się na 20-25 minut. Wystarczy trochę czasu w tym „ogromnym” mieście, aby już mieć problem z dogadaniem się ze znajomymi. Na szczęście można to bardzo szybko naprostować, próbując przekazać przy tym swoje postrzeganie – nie zawsze ze skutkiem, ale jakoś trzeba wyjaśnić tę perspektywę, by nie wyjść przy tym na „słoika”, co to swoją warszawskością wszędzie epatuje.

Jest też coś, co Olsztyn powinien podpatrzeć od Warszawy. I nie są to tramwaje. To możliwości spędzania czasu poprzez różnorakie ukulturalnianie. Wiem, wiem. Tam jest więcej miejsca, więcej pieniędzy, więcej ludzi. Ale czy na Jarotach człowiek jest w stanie znaleźć jakąkolwiek imprezę kulturalną w środku tygodnia? Tydzień w tydzień? Nawet w centrum zwykle jest ich w porywach kilka na krzyż. Warszawa tutaj wypada o wiele, wiele lepiej. Jeśli człowiek szuka, to znajdzie, a w dodatku będzie mógł przebierać. Ktoś powinien się nad tym zastanowić i zaoferować wreszcie coś dla mieszkańców stolicy Warmii i Mazur.

Przejdźmy jednak do rzeczy, która zaskoczyła mnie głęboko. Jest lato, upały, urlopy. Marzymy o pięknej, złotej opaleniznie. Zwy-

kle w takich momentach pędzimy nad jezioro, kładziemy się na plaży... Gdy robi się za gorąco, zawsze możemy wskoczyć do wody. Nawet człowiek nie myśli, jakie to dobro mamy pod nosem, bo przecież to codzienność. Okazuje się, że w Warszawie i na to znalazło się rozwiązanie.

Pewnego dnia mój chłopak zażyczył sobie wyprawę do pobliskiego parku na tak zwany „smażing”. Myślałam sobie: „Idę się kompletnie skompromitować, leżąc w parku podczas kąpieli słonecznej”. Ale nie! Myliłam się! W środku miasta, na kawałku wielkomiejskiej zieleni, tłumy ludzi rozkładały się z kocami i leżakami. Starsi, młodszy, chłopak i dziewczyna. Nagle wkroczyłam na zieloną plażę, gdzie za akwen wody robił parkowy staw. Okazuje się, że tutaj to normalny zwyczaj, nic w tym dziwnego. Dla mnie, osoby wychowanej w Krainie Tysiąca Jezior, to wciąż dziwny zwyczaj, ale z braku laku... Chociaż chyba nigdy nie przetrawię kąpieli w stawkach.

Okazuje się jednak, że takich małych szoków może zaznać też warszawiak na wyjeździe do Olsztyna. Wystarczy tylko jeden dzień.

Ogromne zaskoczenie wzbudziły osiedlowe bloki. Wielka płyta, jak wszędzie, ale okazuje się, że pewien szczegół jest inny – nazwy ulic wraz z numerami na elewacji. Duże i w widocznych miejscach. Mój luby wciąż jest pod wrażeniem, bo nie może wyjść z podziwu, jak genialnie proste jest to rozwiązanie, którego w stolicy się nie stosuje. Dla nas drobnostka, a jednak robi ogromną różnicę.

Zawsze żartujemy sobie z jednej różnicy: tego, jak długo świeci się zielone światelko na przejściach. Znów nic szczególnego, ale zrobiliśmy sobie z tego niemalże jednostkę czasu. Przez pierwsze miesiące w stolicy, gdy widziałam zielone to podbiegałam do niego i truchtem przechodziłam. Ukochany był tym wybitnie rozbawiony, bo zwykle potem uświadamiałam sobie, że zdążyłabym jeszcze ulicę przekroczyć ze trzy razy. Zrozumiał jednak, skąd u mnie taki pośpiech, gdy sam zaznał olsztyńskich przejść. Cóż... Drobne poprawki powinny być wprowadzone, ale przynajmniej mogą domniemywać, że urzędnicy z Olsztyna są bardziej wysportowani.

Zapewne, gdybym tak dumiała nad tematem, to wykopałabym więcej takich kwiatków. Nie mówiąc o odczuciach innych członków mniejszości olsztyńskiej w Warszawie. Polecam każdemu taką zmianę miejsca – bardzo odświeża podejście do życia i świata. Chociaż cóż... Przecież, jak śpiewa Grzegorz Turnau: „Mogłem jechać, wyjechać i stąd się oddalić. Ale jednak zostałem z tymi, co zostali”.

Elżbieta Frąckowiak – rocznik '89. Ukończyła studia dziennikarskie na UWM-ie. Urodzona w Olsztynie, od ponad roku mieszka w Warszawie ze swoim chłopakiem oraz dwoma kotami. Fanka rękodzieła maści wszelakiej. W wolnych chwilach prowadzi bloga kunadomowa.blogspot.com.

Koniec. Kropka

dla Ewy i Jasia, wszystkie Szkice z obrazkiem

s z k i c e z o b r a z k i e m

Jestem na przemian szczęśliwy i smutny. Szczęśliwy, bo już od trzech lat bez mała drukuję w „VariArcie” swoje krótkie tekstki o malarzach i obrazach. Kto zna autora tych słów, wie, że nie jest to rzecz prosta i przyjemna dla mnie: pisanie na zamówienie, trzymanie się terminów i trwanie na straży mimo nadciągającej hordy zniecierpliwienia, zmęczenia i zwyczajnego ludzkiego lenistwa. Ale jestem szczęśliwy także dlatego, że trwało to aż trzy lata. Słowo się rzekło: trwało. I tu wspomnieć muszę o smutku, który towarzyszy nam głównie w momencie wszelkiej utraty. Mówiłem dotąd o malarzach, ich dziełach, technikach i historiach. Tych prawdziwych i tych, które zrodziły się z mojej wyobraźni. Stąd lubię myśleć o *Szkicach z obrazkiem* jak o apokryfach. Dzisiaj chciałbym powiedzieć o samej namiętności do malarstwa. Gdybym nie pisał wierszy, chciałbym być w pierwszej kolejności kucharzem, w drugiej malarzem. Obydwie profesje łączą konkretny efekt wysiłku twórcy. Tak jak ukończona potrawa, tak obraz jest rzeczą samą w sobie. Namacalną, istniejącą w przestrzeni. I tylko czas ich trwania pośród nas je różni. Kolacja, o ile wyśmienita, znika szybko, obrazy zaś trwają latami. Zawieszone na ścianach muzeów, galerii czy w prywatnych domach, cieszą nas swoim cichym trwaniem i uczą pokory.

Oglądanie obrazów to wielka lekcja historii. Tej przedstawionej na płótnie, wyrzeźbionej w ramie, jak i tej, która dotyczy samego obrazu, jego stworzenia. Każdy obraz ma swoją historię. Donatorów, kwity zamówień, rachunki za pigmenty, kradzieże, wreszcie powroty, swoich fanatycznych podglądaczy. *Szał* Podkowińskiego może tu posłużyć za dobry przykład.

Lubię spędzać czas przed obrazem. Zastanawiać się nad tym, co myśli Zuzanna, skąd wypęłzył stwory Hieronima? Jak inaczej po-

toczyłaby się historia św. Sebastiana, gdyby nie dosięgły go strzały z rozkazu Dioklecjana? Obrazy bardziej może niż wiersze uczą cierpliwości. Uśmiech Mona Lisy z każdym dniem patrzenia na niego, przyglądania się mu w dzień słoneczny, czy w środku nieprzebranej zimy, odkrywa przed nami inny, ukryty dotąd wyraz. A my – my musimy tylko konsekwentnie stawać przed nim i patrzeć.

Oto nasze zadanie: patrzeć i z tego spojrzenia wysnuwać przekonanie, że jesteśmy częścią całości. Trwaniem „wydającym się” wciąż na oczach patrzących. Jesteśmy tą dziewczyną, która stoi skryta za organami u van Eycka, na prawym skrzydle ołtarza, oraz prawym pantoflem Jeanne de Cheanany. Jesteśmy poległym żołnierzem Uccello, zającem Gozzoli wyglądającym mędrców ze wschodu i snem Konstantyna, i sklepieniem kaplicy King’s College. Różą Lochnera i św. Szczepanem wg Fouqueta, wszystkimi kolorami z palety mistrza van der Weydena, olśnieniem Stwosza, uśmiechem nieśmiertelnej Włoszki. Na równi: błyskawicą Giorgione i chłopcem klęczącym u Tycjana, tym chłopcem, którego wzrok spoczywa na nas od czterystu lat. Kępą trawy Dürera, krzyżem Grünewalda, stworzeniami Hieronima

Boscha. Niepowtarzalnym odcieniem skóry z portretów Holbeina Młodsze. Jesteśmy odbiciem w lustrze Velázqueza, wiatrakiem van Goyena, synem marnotrawnym i rozbitym jajkiem u Jana Steena, rakiem Kalfa, dzbanem, z którego całą wieczność dziewczyna przelewać będzie mleko. Jesteśmy baletnicą Degas. Podróżnym oczekującym na pociąg na Dworcu St-Lazare. Wciąż, bez ustanku zbieramy kłosa, tak jak to widział Millet. Kusimy św. Antoniego i nas kuszą diabły o ziemistej cerze, z głową lwów. Jesteśmy ślepcami dobrego Piotra Bruegela. Jesteśmy. Jesteśmy.

